Nagroda dla magazynu „Culture Avenue”

Nagroda im. Macieja Płażyńskiego dla dziennikarzy i mediów służących Polonii.

Dziennikarze mediów polonijnych zostali uhonorowani 9 czerwca 2018 roku podczas uroczystości w Muzeum Emigracji w Gdyni.

Dziękuję Press Club Polska, Jakubowi Płażyńskiemu oraz członkom kapituły za wyróżnienie, a także wszystkim wspaniałym autorom i bohaterom magazynu, którzy dzielą się z czytelnikami swoim talentem, doświadczeniami i pasjami.

Joanna Sokołowska-Gwizdka, redaktor naczelna Culture Avenue.



Od lewej: Magdalena Rigamonti, Krzysztof Rak, Joanna Sokołowska-Gwizdka, fot. Maksymilian Rigamonti.

Dziennikarstwo polonijne jest wyjątkowe, bo bierze się z pasji. Informuje, integruje środowisko, po prostu czyni dobro. Dla mojego ojca najważniejsze było budowanie mostów między Polakami na całym świecie a Polską. Poprzez tę nagrodę staramy się kontynuować to dzieło – podkreślił, witając gości Jakub Płażyński, przewodniczący jury nagrody.

Nagroda została ustanowiona w 2012 roku z inicjatywy Press Club Polska, Jakuba Płażyńskiego, prezydentów Gdańska, Sopotu i Gdyni oraz marszałka wojewódzkiego.



Małgorzata Bonikowska

W tym roku w kategorii **dziennikarz medium polonijnego** nagrodę otrzymała **Małgorzata P. Bonikowska** w Kanady pomysłodawczyni i autorka podcastu „Polcast” – innowacyjnego medium, w którym promuje wiedzę o Polsce i Polakach w języku angielskim. Dziennikarka między innymi pięknie powiedziała o posłannictwie w tworzeniu wizerunku Polski i Polaków za granicą i budowaniu międzykulturowych mostów.



Tomasz Wolff

W kategorii **redakcja medium polonijnego** uhonorowano redakcję „Głosu – Gazety Polaków w Republice Czeskiej” – za profesjonalizm oraz konsekwentny wysiłek, którego efektem jest wydawanie kilka razy w tygodniu gazety dla Polaków w Czechach. *Nasz nakład to 4 tysiące egzemplarzy, aż 90% rozchodzi się w prenumeracie. To swego rodzaju ewenement. Wydajemy „Głos” dla społeczności polskiej na Zaolziu* – opowiadał redaktor naczelny gazety **Tomasz Wolff**.



Gerhard Gnauck

W kategorii **dziennikarz zagraniczny publikujący na temat Polski, Polaków i Polonii** laureatem został **Gerhard Gnauck** – autor ważnych i nieszablonowych tekstów o polskiej polityce, opublikowanych w „Die Welt” i „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. *Nagroda jest bliska memu sercu m.in. dlatego, że początki mojej drogi zawodowej są ściśle związane z mediami polonijnymi. W latach 80. gdy chodziłem do liceum w Moguncji, postanowiłem opowiedzieć polskim czytelnikom-emigrantom o niemieckiej historii. Wysyłałem wówczas artykuły do wielu polonijnych gazet, nie tylko w Niemczech. Kiedy, nie*

spodziewając się tego, dostałem pierwsze honorarium, pomyślałem, że to może być sposób na życie – wspominał laureat.



Beata Kost

Nagrodzona została również **Beata Kost,** dziennikarka „Kuriera Galicyjskiego”, za książkę „Kobiety ze Lwowa”, w której żywym językiem i w interesujący sposób portretuje ponad trzydzieści kobiet związanych z tym miastem. *Jestem związana ze Lwowem od urodzenia. Społeczność polska w moim mieście, już niewielka,*

może istnieć tylko dlatego, że dostaje różnorakie wsparcie z Polski. I ta nagroda jest kolejnym dowodem na zainteresowanie tym, co robimy, dlatego budzi we mnie ogromne wzruszenie – mówiła Beata Kost.

W kategorii **redakcja medium polonijnego** wyróżniony został również magazyn **Culture Avenue**, „który przy wykorzystaniu nowoczesnych form promuje polskich twórców rozsianych po świecie, a często nieznanych w Polsce" – jak oceniło jury. Wyróżnienie wręczali Magdalena Rigamonti – dziennikarka „Dziennika – Gazety Prawnej" oraz Krzysztof Rak – historyk filozofii, ekspert w dziedzinie polityki zagranicznej, publicysta TVP.



Joanna Sokołowska z dyplomem i statuetką za redakcję magazynu Culture Avenue i Jakub Płażyński, syn marszałka Macieja Płazyńskiego.



Joanna Sokołowska-Gwozdka



Joanna Sokołowska-Gwizdka po otrzymaniu nagrody, Magdalena Rigamonti, Krzysztif Rak, fot. Maksymilian Rigamonti



Joanna Sokołowska-Gwizdka udziela wywiadu dla telewizji.



Uroczystość wręczenia nagród im. M. Płażyńskiego, fot. Maksymilian Rigamonti.

Reportaż przygotowany przez 12-letniego Stasia Raka. Nagrał on rozmowy z Jakubem Płażyńskim, z Jerzym Haszczyńskim (jurorem) i z laureatami: Małgorzatą Bonikowską, Tomaszem Wolffem, Beatą Kost i Joanną Sokołowską-Gwizdka.

http://www.cultureave.com/wp-content/uploads/2018/06/Stanislaw_Rak_5a_reportaz1.mp3

Wykorzystano materiały prasowe Press Club Polska:

http://nagrodaplazynskiego.pl/

Powstanie Warszawskie i niezwykłe książki

Barbary Wachowicz

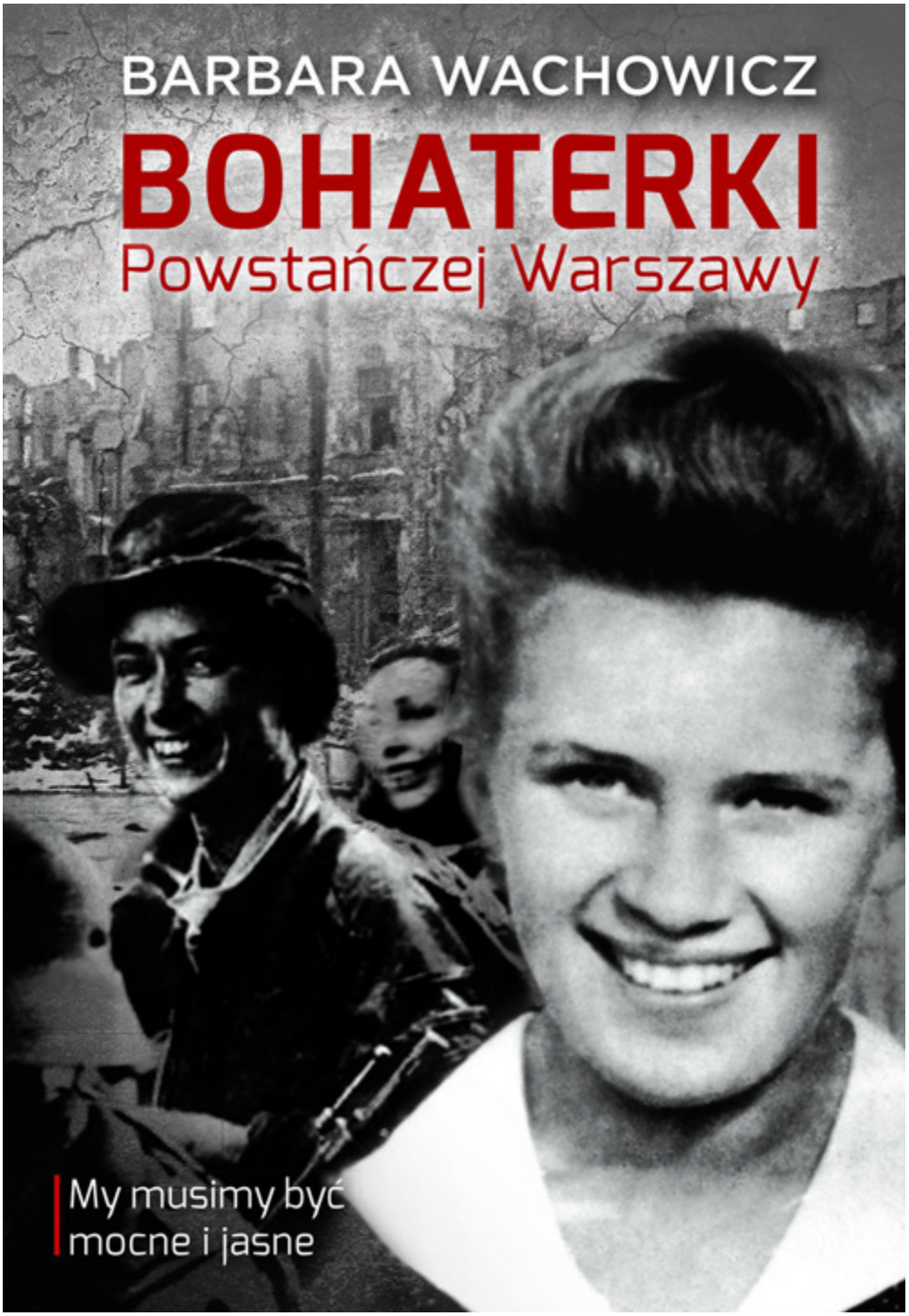

W czwartek 7 czerwca 2018 r. odeszła Barbara Wachowicz – piękny człowiek i poetka pióra. Pozostaną po niej jej książki, w których opowiadała o życiu, twórczości, miłościach i tajemnicach Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza, Żeromskiego, Kościuszki. Zajmowała się też postaciami polskiego harcerstwa. Była autorką scenariuszy filmowych i telewizyjnych, audycji radiowych, wystaw i widowisk scenicznych.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Barbara Wachowicz, autorka cyklu *Wierna rzeka harcerstwa,* raz po rW caz daje nam cenne książki o wielkich Polakach, jak *Wigilie Polskie. Adam Mickiewicz,* czy *Nazwę Cię Kościuszko! Szlakiem bitewnym Naczelnika w Ameryce*. Ostatnio po przepięknie wydanej przez Wyd. Świat Książki dwutomowej *Siedziby wielkich Polaków,* ukazała się kolejna książka Barbary Wachowicz na temat harcerzy Powstania Warszawskiego. W 2014 r. ukazał się 700 stronicowy unikatowy tom *Bohaterki Powstańczej Warszawy* (Wyd. Muza) poświęcony m.in. Krystynie Krahelskiej, Krystynie Wańkowiczównie, Dorocie Łempickiej, Barbarze Groholskiej, Alinie Janowskiej, Danucie Szaflarskiej. Czytamy:

> Było ich wiele. Wspaniałe Dziewczęta walczącej, powstańczej Warszawy – symbole największej ofiarności, poświęcenia i

> męstwa. Sanitariuszki, łączniczki, przewodniczki. Ratowały rannych i trwały przy nich, wiedząc, że zginą, przenosiły pod obstrzałem rozkazy i meldunki, budowały barykady, transportowały broń, otaczały opieką ludność cywilną, zdobywały żywność, przeprowadzały kanałami.

Spotkania z Barbarą Wachowicz są przeżyciem, które zapada mocno w serce. Jej spotkania wywołują poczucie bycia częścią pięknej wspólnoty. Jest zawsze starannie przygotowana, operująca piękną elegancką polszczyzną. Zadziwia. Wstrzymując oddech poddajemy się magii jej słów, tematów, sposobu ich podania. Mająca unikalny talent oratorski, obdarzona tytułem „Pisarki losu polskiego", dumnie i pięknie promuje przywiązanie do tradycji, do historii, wskazuje bohaterów. Jej książki są starannie udokumentowane, mają podane źródła; dla wielu cytatów są warte każdej ceny.

Najnowsza książka Barbary Wachowicz jest zatytułowana *Ułan Batalionu „Zośka". Gawęda o Janku Rodowiczu „Anodzie" (*Rytm 2015).

Porucznik Jan Rodowicz ps. „Anoda" był postacią niezwykłą: harcerz, żołnierz Szarych Szeregów i AK oraz Delegatury Sił Zbrojnych. Jego 26-letni życiorys jest bohaterski, dramatyczny, okrutny, przejmujący i bolesny. Urodził się 7 marca 1923 r. w

Warszawie, zamordowany został 7 stycznia 1949 r. podczas śledztwa w siedzibie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na Koszykowej 6.

Był synem profesora Politechniki Warszawskiej, Kazimierza Rodowicza i Zofii z Bortnowskich, siostry generała Władysława Bortnowskiego. Uczęszczał do prywatnej Szkoły Powszechnej Towarzystwa Ziemi Mazowieckiej, wstąpił do 21. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej. Był uczniem liceum im. S. Batorego, wiosną 1939 roku zdał tzw. małą maturę. Gdy wybucha wojna ma 16 lat.

Od października włączył się w konspirację, został członkiem Szarych Szeregów. Był już wcześniej zaprzyjaźniony m.in. z Tadeuszem Zawadzkim, Alkiem Dawidowskim, Jankiem Bytnarem. (Później zostaną jednymi z bohaterów słynnej książki Aleksandra Kamińskiego *Kamienie na szaniec.)*

Janek uczy się na tajnych kompletach gimnazjum S. Batorego i w 1941 uzyskuje maturę. Pracuje w różnych miejscach kontynuując działalność podziemną.

Barbara Wachowicz przytacza słowa matki Janka, Pani Zofii Rodowicz:

> Braliśmy czynny udział w pracach syna: przyjmowanie paczek z bronią, przenoszenie do piwnicy, kolportaż prasy. Mieszkanie było używane jako lokal konspiracyjny na spotkania, szkolenia, komplety maturalne, wykłady podchorążówki, skrzynie z bronią w piwnicy, schowek z aparatem radiowym i bronią w podłodze w pokoju Janka. Odbywały się całonocne ćwiczenia podchorążówki, czyszczenie i przerzucanie broni.

W 1943 r. Janek bierze udział w wielu akcjach, m.in. w słynnej akcji pod Arsenałem odbijając z rąk Gestapo Janka Bytnara ”Rudego”; dowodząc sekcją „Butelki” wywiózł z pola walki ciężko rannego Alka Dawidowskiego. I Alek, i „Rudy”, jak przypomina Autorka książki, żyli jeszcze… 4 dni. Zmarli z odniesionych ran. Za akcję pod Arsenalem Janek Rodowicz według rozkazu gen. Grota Roweckiego otrzymał Krzyż Walecznych po raz pierwszy.

W czasie Powstania Warszawskiego walczył początkowo na Woli w kompanii „Rudy” Batalionu „Zośka”, który wchodził w skład zgrupowania KG AK ppłk Jana Mazurkiewicza, ps. „Radosław”. Dziewiątego dnia po wybuchu Powstania zostaje ciężko ranny w lewe płuco, leczony jest w szpitalach na Starym Mieście: im Jana Bożego przy ul. Bonifraterskiej i kolejno w batalionowym przy ul. Miodowej.

Podczas ewakuacji Starówki wraz z grupą rannych żołnierzy Batalionu „Zośka” 31 sierpnia przechodzi kanałami do Śródmieścia-Północ. Jest ponownie w szpitalu przy ulicy Hożej, ale 8 września przerywa leczenie i dołącza do swojego oddziału walczącego na Górnym Czerniakowie. 15 września zostaje ponownie ranny w ramię i łopatkę z potrzaskaniem kości. W drodze do szpitala zostaje trafiony odłamkami w rękę. W nocy z 17 na 18 września nieprzytomnego Janka Rodowicza ewakuują pontonem przez Wisłę na Pragę żołnierze 3. Pułku Piechoty z 1 Armii WP gen. Zygmunta Berlinga.

Leczony jest w szpitalu w Otwocku. Z bezwładem ręki będzie walczyć do końca życia. Na początku 1945 roku dostaje się do rodziny w Milanówku i nawiązuje kontakt z kolegami, którzy przeżyli Powstanie. Zostaje dowódcą oddziału dyspozycyjnego szefa Obszaru Centralnego Delegatury Sił Zbrojnych płk. J. Mazurkiewicza ps. „Radosław”. Prowadzi akcje propagandowe skierowane przeciwko rządom komunistycznym, rozpoznaje urzędy bezpieczeństwa publicznego, więzienia, ochrania odprawy dowództwa Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj. W sierpniu 1945 r. po rozwiązaniu DSZ ukrywa część broni i przenosi się do rodziny do Warszawy. Wraz z innymi byłymi żołnierzami Batalionu „Zośka” zajmuje się ekshumacją i pogrzebami na Cmentarzu Powązkowskim poległych kolegów, tworzy kwatery powstańcze. Pracując w kancelarii Komisji Likwidacyjnej sporządza wraz z kolegami listy ewidencji

poległych i zaginionych żołnierzy Batalionu. Zachęcał kolegów do zabezpieczenia materiałów historycznych dotyczących oddziału oraz pisania wspomnień. Był inicjatorem utworzenia „Archiwum Baonu Zośka”.

Podejmuje studia na wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej, w 1947 roku przenosi się na Wydział Architektury.

…Czyżby nadszedł okres spokoju?…

***

Jak pisze Barbara Wachowicz, 24 grudnia 1948 roku matka Janka

> wzięła w dłoń opłatek, myśląc o tych, które kładą ów „boży chleb” ofiarny na pustych talerzach. Pomyślała – dzięki Bogu, ocalało mi chociaż jedno dziecko. I wtedy zaterkotał wysoko dzwonek. Myśleli, że ktoś bliski, samotny.

…A to przyszli po Janka. Aresztowano go przy stole wigilijnym.

Podczas brutalnego śledztwa w siedzibie MBP przy ul. Koszykowej zmarł 7 stycznia 1949 roku. Według prokuratury i UB przyczyną jego śmierci był skok samobójczy z okna IV piętra

budynku. Jak ustalono później, najprawdopodobniej został z niego wyrzucony, lub został zamordowany w innych okolicznościach.

12 stycznia 1949 r. jego ciało zostało anonimowo pogrzebane na Cmentarzu Powązkowskim. Rodziców powiadomiono o jego śmierci dopiero 1 marca.

16 marca powiadomiona przez grabarza, który wskazał miejsce pochówku, rodzina przeprowadziła ekshumację i trumnę z Jankiem Rodowiczem „Anodą" umieszczono w rodzinnym grobie na Starych Powązkach. Jego symboliczny grób znajduje się także w kwaterze „Na Łączce" Cmentarza Wojskowego w Warszawie (pomordowanych przez organy bezpieczeństwa publicznego w latach 1945-1956).

W czasie przekładania zwłok do trumny, jak później poinformowano matkę, nie stwierdzono oznak połamanych nóg, wylewów, uszkodzeń twarzy i rąk. Dostrzeżono za uchem otworek z zakrzepłą krwią… według lekarza – to był strzał w tył głowy.

To nie było samobójstwo – to było zabójstwo. Oprawcy nie ponieśli żadnej kary.

Co z innymi?… Np. przywoływany wcześniej "Radosław", ppłk.

Jan Mazurkiewicz, został aresztowany 4 lutego 1949 roku. Przywołuję Autorkę książki: „Katowano go w śledztwie, wybito zęby. Pięć lat leżał na betonie, mając kilka garści zgniłej słomy. W listopadzie 1953 roku skazany został na dożywotnie więzienie". Na wolność wyszedł w wyniku amnestii w 1956 roku, rok później został zrehabilitowany.

Barbara Wachowicz cytuje wstrząsający dokument – (odnaleziony w papierach Bieruta) sporządzony 2 czerwca 1947 r. w Moskwie. Pokazuje, jak zaplanowano zniszczenie ludzi autorytetu i zaufania, kultury, nauki, gospodarki.

Kilka fragmentów:

> 10. Do wszystkich organów władzy i większości zakładów wprowadzić ludzi współpracujących z naszymi służbami specjalnymi (bez wiedzy władz krajowych).

> 34. Szczególnej obserwacji poddać Kościół i tak ukierunkować działalność oświatowo-wychowawczą, aby wzbudzić powszechny wstręt do tej instytucji. Objąć baczną uwagą i kontrolą kościelne drukarnie, biblioteki, archiwa, kazania, kolędowania, treści nauk religijnych

oraz obrzędy pogrzebowe.

35. W szkolnictwie podstawowym, zawodowym, a w szczególności w szkołach średnich i wyższych doprowadzić do usunięcia nauczycieli cieszących się powszechnym autorytetem i uznaniem. Na ich miejsce wprowadzić ludzi mianowanych (...)

39. Zadbać o budowę i rozbudowę mostów, dróg i licznych połączeń, aby w razie konieczności interwencji wojskowej można było szybko i z każdej strony dotrzeć do punktu oporu lub koncentracji sił opozycji (...).

40. Pilnować, aby aresztować przeciwników politycznych. Rozpracować przeciwników z autorytetem wśród krajowców. Likwidować w drodze tzw. zajść sytuacyjnych przypadkowych, zanim staną się głośnymi, lub aresztować ich wcześniej za wykroczenia kryminalne.

41. Nie dopuszczać do rehabilitacji osób skazanych w procesach politycznych. W razie konieczności rehabilitacji, można ją przeprowadzić tylko pod warunkiem, że sprawa będzie uznana za pomyłkę sądową, bez wszczynania dochodzenia i stawiania przed sądem winnych pomyłki (sędziów, świadków, oskarżycieli, informatorów).

***

Janek Rodowicz marzył o udziale w odbudowie zniszczonej Warszawy. Byłby zapewne znakomitym architektem. Tablica upamiętniająca Rodowicza znajduje się w gmachu Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej oraz przy Ministerstwie Sprawiedliwości.

Jest patronem warszawskich Drużyn Harcerskich „Czata" i „Las", szczepu hufca Poznań „Wilda". Jego imieniem są nazwane ulice na warszawskim Ursynowie i na osiedlu Teofilów w Łodzi. Od 2011 roku Muzeum Powstania Warszawskiego ustanowiło nagrodę im. Jana Rodowicza „Anody". W 1981 roku o „Anodzie" mówiła w I programie Polskiego Radia Barbara Wachowicz z Andrzejem Matulem. Powstały filmy dokumentalne: *Dlaczego*, (1990). *Ułan Batalionu Zośka. Jan Rodowicz Anoda* (1994),

spektakl telewizyjny *Pseudonim Anoda* (2007).

W 1991 roku Barbara Wachowicz zorganizowała wystawę *„Kamyk na szańcu – opowieść o Druhu Aleksandrze Kamińskim i Jego Bohaterach – Harcerzach Szarych Szeregów*”, której duża sekwencja poświęcona jest „Anodzie”. Wśród pokazanych pamiątek jest modlitewnik Janka z dedykacją Matki, własnoręcznie wypełniona ankieta wyliczająca akcje bojowe i rany, pismo z Urzędu Bezpieczeństwa, akt zgonu, indeksy i legitymacje studenckie. Także opaska powstańcza. Wystawa prezentowana w wielu miastach, w całej niemal Polsce, cieszy się ogromnym zainteresowaniem. W Warszawie od maja do sierpnia 2002 odwiedziło ją 64 tysiące ludzi.

W archiwum „Anody” zachowała się „Modlitwa” przepisana jego ręką, zacytowana w książce Barbary Wachowicz. Jej początek:

> Panie Boże Wszechmogący, Daj nam siły i moc wytrwania w walce o Polskę, której poświęcamy całe nasze życie.

Barbara Wachowicz: Bohaterki Powstańczej Warszawy, wyd. Muza, 2014 r.

Tekst ukazał się [w:] Nowy Dziennik, Przegląd Polski, Nowy Jork, 8 października 2015 r.

Artykuł Barbary Wachowicz o Melchiorze Wańkowiczu i Aleksandrze Ziółkowskiej-Boehm:

http://www.cultureave.com/ziele-nie-szarzeje/

Najciekawszy poeta nad Tamizą. Nota o Tadeuszu Sułkowskim

(1907-1960).



Florian Śmieja

Wśród pięknych książek wydanych przez zasłużone wydawnictwo emigracyjne Oficyna Poetów i Malarzy Czesława i Krystyny Bednarczyków, znalazły się dwa tomy poezji Tadeusza Sułkowskiego: „Tarcza” (1961) i „Dom złoty” (1961). Ten cały bez mała dorobek przedwcześnie zmarłego poety emigracyjnego nie mógł ukazać się za jego życia z powodu ustawicznych wahań i niekończącego się cyzelowania tekstów przez autora oraz

jakiegoś niedobrego fatum. W liście do Henryka Elzenberga z 21.2. 1966 roku Michał Chmielowiec powiedział o skromnym, mało afiszującym się Sułkowskim

> […] to był najciekawszy poeta polski nie tylko nad Tamizą, ale i nad innymi zagranicznymi rzekami.

Otoczony książkami i słownikami Sułkowski żył samotnie w londyńskim Domu Pisarza, mając z nim wiele kłopotu. Był jego zarządcą, ale także sprzątającym, odnawiał go i użerał się z niełatwymi, a często złośliwymi lokatorami. Do tego był człowiekiem nazbyt miękkim i mało zaradnym. Ledwo wiązał koniec z końcem, dorabiając niekiedy audycjami radiowymi, a częściej pracą fizyczną. Nieraz widziałem go pracującego w drukarni Oficyny pod kolejowym mostem Waterloo.

Raz spotkałem go w kinie po seansie „Popiołu i diamentu”. Ten cichy i łagodny człowiek był poruszony do niepoznaki. Buchał od niego jakiś żar, czuć było niezwyczajny przypływ witalności. Przejęty był dramatem życia „tam”, w Polsce. Zaimponowała mu jego drapieżność. „Tu naszemu życiu brakuje kantów. Wszystko jest zaokrąglone, wszystko uładzone i martwe” – tłumaczył. Niemniej do Polski nie wrócił, choć na emigracyjnym podwórku nie umiał sobie znaleźć właściwego miejsca. Był duszą i motorem niejednej literackiej imprezy i szczodrze szafował swoim czasem

i radą, Sprzyjał młodym stawiającym pierwsze kroki pisarskie. Sam doświadczyłem jego wielkoduszności, kiedy biedziłem się nad przekładem wyboru prozy poetyckiej Juana Ramóna Jiméneza „Srebroń i ja" drukowanym później w Oficynie Poetów i Malarzy. Odwiedziłem go wtedy kilkakrotnie w jego pokoju i czytałem mu hiszpańską historię o osiołku srebrnej maści zasięgając jego opinii w niepewnych miejscach. Popijaliśmy kawę, więc raz przyniosłem mu całą jej puszkę. Choć biedował, prezentu nie przyjął. Tak jak w wypadku innych młodych ludzi, interesował się również moją pracą literacką, zachęcał do kontynuowania jej, cieszył się z sukcesów, a własne, znakomite teksty trzymał i rozstać się z nimi nie potrafił, mimo częstych zabiegów znajomych, którzy nalegali na ich wydanie drukiem. W rezultacie debiutował na emigracji dopiero po śmierci. Na ponawiane prośby przyjaciół w końcu zebrał całą swoją skąpą twórczość, aby w drukowanej formie świadczyła o poecie i o jego szlachetnych próbach nadania kształtu nurtującym go wizjom nowego ładu mającego zapanować po spustoszeniach wojny. Pisał:

> Wszyscyśmy biedni, złaknieni dobrego słowa i poczucia, że samiusieńkim środkiem nas samych biegnie oś tego świata i ziemi.

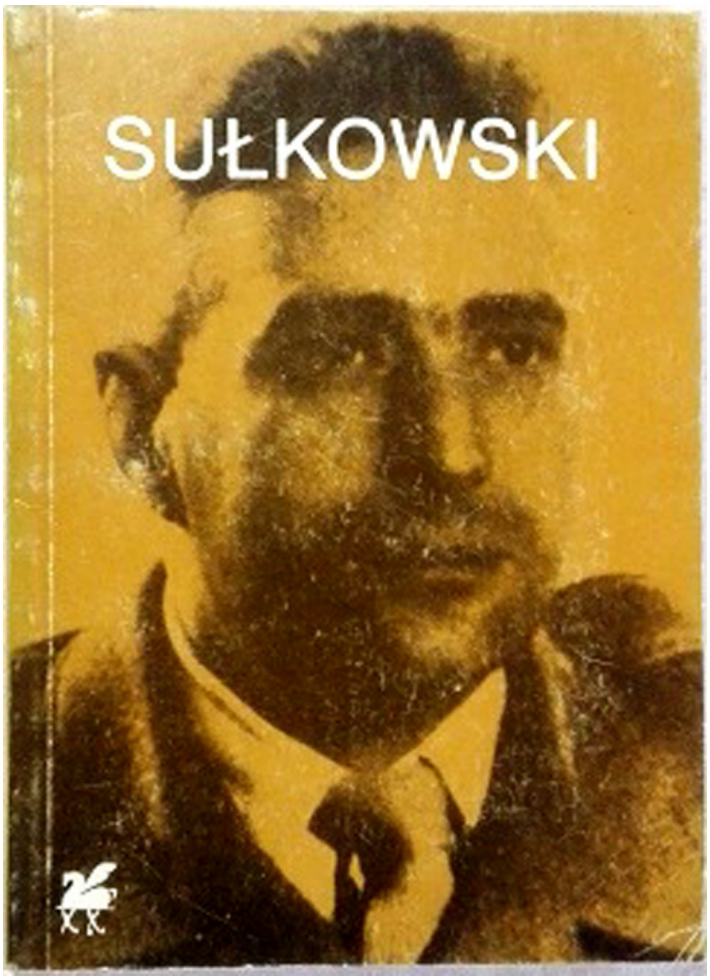

Tadeusz Sułkowski, Poezje wybrane, 1990 r.

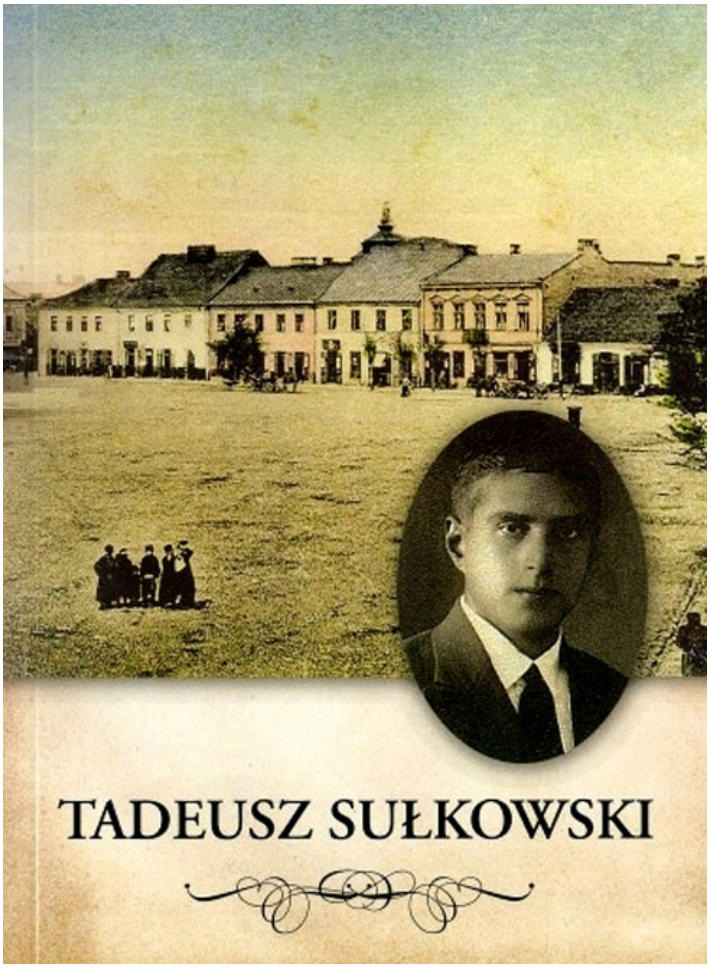

Tadeusz Sułkowski, Maria Dąbrowska – Listy 1943-1959, Skierniewice, Miejska Biblioteka Publiczna, 2007 r.

Nie hołdował modnym poetykom. Był człowiekiem mozolnie wydobywającym szczery kruszec na papier, który miał nabrać wagi manifestu. W wierszu „Dom złoty” czytamy:

> Pasterzu, pasterzu ludzi, badaj miłość i ziemskie zwierzęta,
>
> Aż wyjdzie w słonych promieniach jak wyspa koralowa z wody
>
> Nowy system kopernikański, który zatrzyma łzę, bo łza

> ciężka,
>
> A poruszy rękę człowieka, by z ziemi uczynił dom złoty.

Pogrzeb Sułkowskiego na podmiejskim cmentarzu Golders Green był ubogi i smutny. Jego grób zapoczątkował tam rodzimy panteon, bo kiedy kilka lat później stałem nad otwartą mogiłą Kazimierza Wierzyńskiego, obok widniały już krzyże grobów Tadeusza Sułkowskiego i Zygmunta Nowakowskiego.

Niespodziewanie, na udar serca, odszedł cichy, dobry człowiek. Ale po sobie pozostawił szlachetną poezję okupioną klęską, jak sam powiada w proroczym epitafium:

> *Na wadze położą garstkę prochu.*
>
> *Cóż do tego prochu pisanie dorzuci?*
>
> *Ptaku sztuki odfruń,*
>
> *Jeśli mam tylko tyle ważyć, ile dźwięk lutni.*
>
> *Tu w porządek obraca się to nawet, co upadło*
>
> *I w piękne gruzy rzeźby kamień klęski,*

> *Który we wnętrznościach utworu leży jako światło,*
>
> *Ale od którego popiół po mnie będzie ciężki.*

Baśniowe opowieści bez przemocy w treści

Rozmowa z Jolantą Horodecką-Wieczorek – autorką książek dla dzieci.



Wywiad w TV Polonia, październik 2017 r.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Jest pani autorką poczytnych bajek i baśni dla dzieci. Co było impulsem, że zdecydowała się pani na ten rodzaj twórczości?

Jolanta Horodecka-Wieczorek

– Piszę bajki i baśnie, bo uważam, że dzieci mają coraz mniej dobrych wzorców. Dlatego też moje utwory dla dzieci w większości opatrzone są emblematem „Bez przemocy” i jest to informacja dla rodziców, nauczycieli, bibliotekarzy, a także dla tych, którym zależy na prawidłowym kierunkowaniu wrażliwości dziecięcej. Na spotkaniach autorskich w kraju i poza granicami dowiaduję się od dzieci, że w zdecydowanej większości od

potworów wolą rodzime krasnale i dobrą wróżkę, której w moich bajkach często pomaga Księżyc i Wiatr. Na spotkaniach autorskich przekazuję też dzieciom takie wartości jak: przyjaźń, wzajemna pomoc, miłość do Ojczyzny, ludzi, zwierząt, przyrody, a także za pomocą moich bajkowych postaci pouczam dzieci jak w dzisiejszym świecie unikać zagrożeń i przemocy.

To piękne przesłanie, tym bardziej, że przemoc była obecna w literaturze dla dzieci już od dawna. Np. czytając wierszowane bajki z okresu międzywojennego zastanawia ich okrucieństwo. Jasio był niegrzeczny, to mamusia zaprowadziła chłopca za karę do krawca, a krawiec wielkimi nożycami obciął Jasiowi palec. Niezwykle popularne bajki braci Grimm np. o Czerwonym Kapturku czy Jasiu i Małgosi też są okrutne. (Wilk pożera babcię, czarownica wkłada dzieci do pieca). W okresie stalinowskim w bajkach pokazywano jako pozytywne przykłady dzieci, które donosiły na rodziców. Pani bajki promują dobro i piękno.

– Z reguły na spotkaniach autorskich pytam dzieci czy lubią się bać. Można przyjąć, że całe sto procent dzieci podnosi rączki, że nie lubi się bać! Dlatego „piszę bajki bez przemocy, ażeby dzieci spokojnie mogły sypiać w nocy”. Taka sentencja znajduje się na mojej stronie jako motto. W bajkach bez przemocy wychodzę naprzeciw oczekiwaniom dzieci. Moje bajki w pewnym stopniu

traktuję jako oręż przeciwko bajkom z przemocą, bo jak powiedziałam w wywiadzie TV niemieckiej w Oberhausen (na stronie: www.jhw.com.pl) – *społeczeństwo będziemy mieli takie, jakie sobie sami wychowamy*. Dzieci są dla mnie bardzo ważne i chciałabym, aby wszystkie były szczęśliwe, ale szczęście to synonim dobra, które dalekie jest od przemocy i potworów.

Debiutowała Pani w 2001 roku powieścią fantastyczną „Nieskończony wywiad" wydaną przez Miejski Ośrodek Kultury w Piotrkowie Tryb. Od tej pory na rynku krajowym i zagranicznym ukazało się 55 tytułów, wydanych w 856 tysiącach egzemplarzy. To imponująca ilość publikacji. Co według Pani jest powodem takiego zainteresowania literaturą dla dzieci?

– Powieść *science fiction* dla młodzieży i dorosłych pt. „Nieskończony wywiad" w kolejnej, poszerzonej edycji ma zmieniony tytuł na: „W świecie Fosforantów". Jest to romans psychologiczny francuskiej dziennikarki z wysoko cywilizowanym Kosmitą ze świata Fosforantów z odległej planety Cofo. Dwa opowiadania fantastyczne: „Klucz do przeszłości" i „Podróż bez biletu" to też próba *licentia poetica*, aby choć trochę uchylić tajemnicę czwartego i piątego wymiaru. Powtarzają się opinie, że powieść „W świecie Fosforantów" jest dobrym materiałem na scenariusz filmowy. Zachęcona nimi, napisałam *synopsis* w nadziei, że spotkam reżysera specjalizującego się w tematyce

fantastyki.

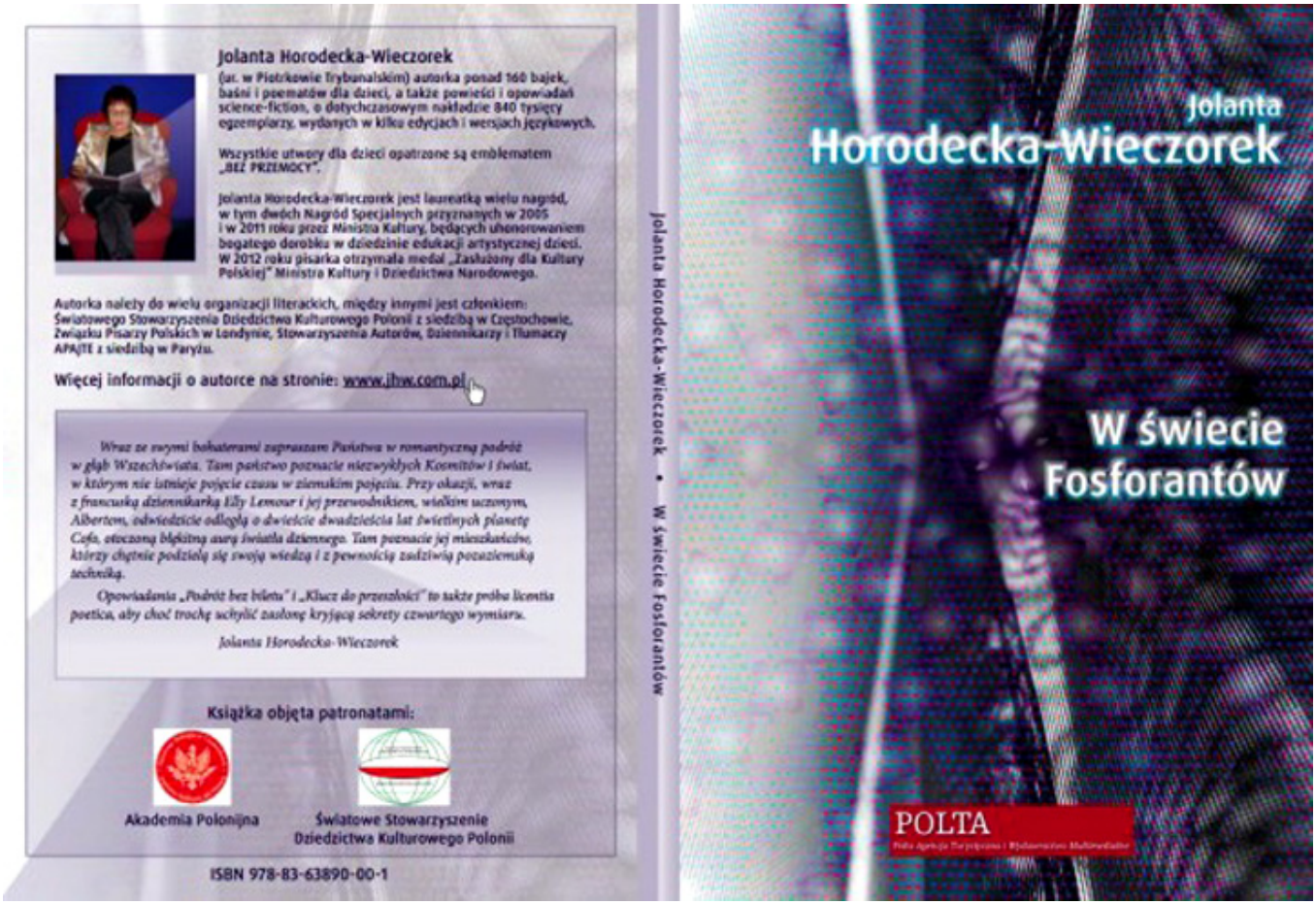
Jolanta Horodecka-Wieczorek
(ur. w Piotrkowie Trybunalskim) autorka ponad 160 bajek, baśni i poematów dla dzieci, a także powieści i opowiadań science-fiction, o dotychczasowym nakładzie 840 tysięcy egzemplarzy, wydanych w kilku edycjach i wersjach językowych.
Wszystkie utwory dla dzieci opatrzone są emblematem „BEZ PRZEMOCY".
Jolanta Horodecka-Wieczorek jest laureatką wielu nagród, w tym dwóch Nagród Specjalnych przyznanych w 2005 i w 2011 roku przez Ministra Kultury, będących uhonorowaniem bogatego dorobku w dziedzinie edukacji artystycznej dzieci. W 2012 roku pisarka otrzymała medal „Zasłużony dla Kultury Polskiej" Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
Autorka należy do wielu organizacji literackich, między innymi jest członkiem: Światowego Stowarzyszenia Dziedzictwa Kulturowego Polonii z siedzibą w Częstochowie, Związku Pisarzy Polskich w Londynie, Stowarzyszenia Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy APAJTE z siedzibą w Paryżu.
Więcej informacji o autorce na stronie: www.jhw.com.pl
Wraz ze swymi bohaterami zapraszam Państwa w romantyczną podróż w głąb Wszechświata. Tam państwo poznacie niezwykłych Kosmitów i świat, w którym nie istnieje pojęcie czasu w ziemskim pojęciu. Przy okazji, wraz z francuską dziennikarką Elly Lemour i jej przewodnikiem, wielkim uczonym, Albertem, odwiedzicie odległą o dwieście dwadzieścia lat świetlnych planetę Cefa, otoczoną błękitną aurą światła dziennego. Tam poznacie jej mieszkańców, którzy chętnie podzielą się swoją wiedzą i z pewnością zadziwią pozaziemską techniką.
Opowiadania „Podróż bez biletu" i „Klucz do przeszłości" to także próba licentia poetica, aby choć trochę uchylić zasłonę kryjącą sekrety czwartego wymiaru.
Jolanta Horodecka-Wieczorek
Książka objęta patronatami:
Akademia Polonijna
Światowe Stowarzyszenie Dziedzictwa Kulturowego Polonii
ISBN 978-83-63890-00-1
Jolanta Horodecka-Wieczorek • W świecie Fosforantów
Jolanta
Horodecka-Wieczorek
W świecie Fosforantów
POLTA



Co Panią pociąga w fantastyce?

– W fantastyce pociąga mnie majestatyczny ład we wszechświecie, ciekawość innych światów oraz rozległe przestrzenie spowite ciszą, które zawsze kojąco na mnie wpływają. Fantastyka to też nieograniczana niczym wyobraźnia, w której może się dziać wszystko, co tylko mieści się w kryteriach mojej wrażliwości wyczulonej na dobro i piękno otaczającego nas wszech – świata. Bajki to też fantazja, tyle że

przeznaczona dla dzieci. Rymowana bajeczka „O kosmicznym ludku w babcinym ogródku” zawiera wątki edukacyjno-ekologiczne, wplecione w kosmiczną fabułę. Dodam, że moją głęboką pasją jest śledzenie najnowszych odkryć naukowych we Wszechświecie, a dyskusje na te tematy na spotkaniach autorskich z młodzieżą i dorosłymi sprawiają mi wielką radość.

Dwie piękne książki będące wierszowaną historią Fryderyka Chopina (w 200-lecie urodzin) – „Wiatru tchnienie o Chopinie” i Tadeusza Kościuszki (w 200-lecie śmierci) – „Wiatrowe opowieści z Kościuszką w treści” podbiły serca polskich dzieci na całym świecie.

– „Wiatru tchnienie o Chopinie” to biografia Fryderyka Chopina ujęta w 117 rymowanych zwrotkach, z czego pierwsza część dotyczy dzieciństwa i najbardziej zaciekawia dzieci, które identyfikują się z małym Fryderykiem. W obydwu wymienionych książkach o Chopinie i o dzieciństwie Tadeusza Kościuszki narratorem jest Wiatr, który wprowadza dzieci w bajkowy świat, gdzie już z łatwością można było wplatać wątki biograficzne, tych dwóch wielkich Polaków. Tak powstały obydwie autentyczne biografie ubrane w bajkowe szaty.

Drogie Dzieci,

Właśnie dla Was napisałam
To miłe sercu wspomnienie,
Abyście nie zapomniały
O Fryderyku Chopinie.

Wiele mu strof poświęciłam,
Abyście się dowiedziały,
Jak przed prawie dwustu laty
Żył i tworzył Polak mały.

A teraz Wam wszystkim życzę
Miłej o Frycku lektury.
Czytając, zapamiętujcie
Z życia geniusza szczegóły.



Jolanta Horodecka-Wieczorek
urodziła się w Piotrkowie Trybunalskim. Jest autorką literatury fantastycznej i ponad 160 bajek i baśni w wierszu w prozie, z czego ukazało się 51 tytułów, nakładem 843 tysięcy egzemplarzy. Wszystkie utwory dla dzieci opatrzone są emblematem „Bez przemocy".

Najważniejsze nagrody i wyróżnienia:
- 2005 – Nagroda Specjalna Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego za bogaty i edukacyjny dorobek w dziedzinie literatury dziecięcej.
- 2011 – Nagroda Specjalna Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego jw.
- 2013 – medal – odznaka honorowa „Zasłużony dla Kultury Polskiej" przyznany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
- 2014 – „Wielka Encyklopedia Polonii Świata", w której autorka znalazła się z racji swej twórczości literackiej i szeroko pojętej działalności polonijnej
- 2015 – Dyplom z medalem wręczony pisarce przez Prezesa Światowego Stowarzyszenia Dziedzictwa Kulturowego Polonii w uznaniu zasług na rzecz współpracy z Polonią Świata.
- 2016 – autorka została nominowana przez Sekretarza Generalnego Światowego Stowarzyszenia Dziedzictwa Kulturowego Polonii na Wiceprzewodniczącą Komisji Współpracy z Polonijnymi Dziennikarzami i Pisarzami na terenie USA i Unii Europejskiej

Autorka jest Członkinią:
A.P.A.J.T.E., Stowarzyszenia Polskich Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy z siedzibą w Paryżu,
Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z siedzibą w Londynie,Międzynarodowej Sekcji IBBY.
Autorka współpracuje ze SSDKP i Fundacją Polska Polonia, Europa.

Więcej informacji znajduje się na stronie: www.jhw.com.pl

ISBN 978-2-911742-15-6

Patronat medialny

Jolanta Horodecka-Wieczorek

Wiatru tchnienie o Chopinie

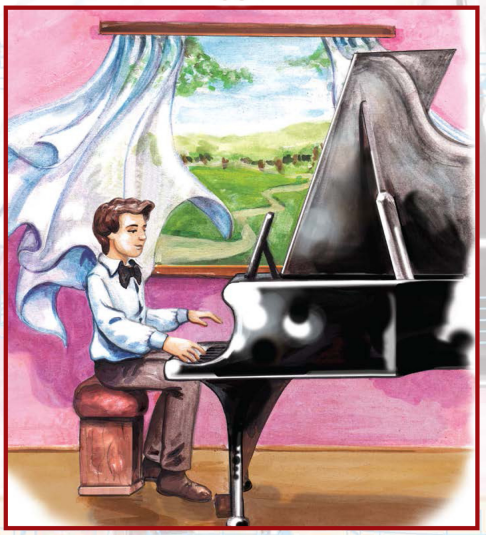

Jolanta Horodecka-Wieczorek

Wiatru tchnienie o Chopinie



Pani książki pełnią funkcję edukacyjną i wychowawczą. Jak trafić do małego czytelnika?

– Skupiam się na bajkowej konstrukcji, z której morał najczęściej wypływa sam. Czasami, w zależności od kompozycji utworu, umieszczam go dyskretnie w środku, bądź na samym końcu, gdzie przesłanie łączy się z zakończeniem. Budując fabułę dyskretnie naprowadzam dzieci na to, co w bajce jest godnego naśladowania, a czego należy unikać.

Jakimi odbiorcami są dzieci?

– Dzieci generalnie są nastawione na dobro, ale niestety dzisiejsze trendy nie zawsze idą w tym kierunku. Moje spotkania z dziećmi są w większości spontaniczne, dzieci mają prawo się wypowiadać, pytać, dobierać tematy i dyskutować. Na zakończenie spotkania, podczas rozdawania autografów zawsze jest czas na indywidualne rozmowy, po których często, aż trudno się rozstać. Ponadto dzieci są dobrymi psychologami i od razu wyczuwają, że ja je lubię. Zapewne więc też dlatego każde spotkanie bywa miłe i niepowtarzalne.



Jolanta Horodecka-Wieczorek w Szwecji, 5 maja 2018 r, z okazji Roku Niepodległości.



Autorka w Szwecji 5 maja 2018 r. Rocznica Niepodległości Polski w Malmo.

Mieszka Pani w Polsce, ale współpracuje z wieloma polonijnymi organizacjami. Jest Pani członkiem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z Londynu. Jest Pani także wiceprzewodniczącą Komisji Współpracy z Polonijnymi Dziennikarzami i Pisarzami na terenie USA i Unii Europejskiej z ramienia Światowego Stowarzyszenia Dziedzictwa Kulturowego Polonii. Jest także Pani członkinią honorową w Asocjacji Kobiet Polskich Polka

International z siedzibą w Szwecji, Ambasadorem w dwóch Hospicjach dziecięcych w Gdyni i w Mławie itd. Skąd w Pani tyle zaangażowania w kontaktach z Polakami z zagranicy?

– Z pewnością z racji współpracy z wieloma organizacjami polonijnymi, zaproszeniami na spotkania autorskie, wywiady, Festiwale, Fora, Targi itp. Owocuje to też coraz większym gronem przyjaciół i pomysłów na współpracę. Od 2005 roku odwiedziłam dziesięć krajów europejskich, często wielokrotnie. Wszędzie zostawiałam swoje książki bez przemocy i wszędzie zyskiwałam kolejnych przyjaciół.

Pierwszym krajem jaki odwiedziłam na zaproszenie Macierzy Polskiej była Litwa. Tam też zawiozłam tysiąc otrzymanych od Wydawcy bajek bez przemocy mojego autorstwa i nigdy nie zapomnę radości jaką tam sprawiły. Nie zapomnę też jak serdecznie witano mnie w różnych szkołach, po staropolsku, chlebem i solą. W roku 2007 Marszałek Senatu Bogdan Borusewicz odwiedzając Polonię we wschodnich krajach Europy, zawiózł w prezencie ode mnie kolejne tysiąc bajek. Serdecznie byłam witana w Konsulacie Polskim we Lwowie i w wielu polskich szkołach na Ukrainie. Byłam też tam zaproszona na Międzynarodowe Forum Książki Europejskiej. Takie były początki moich kontaktów polonijnych.

Potem był Salon Książki Polonijnej w Wiedniu i liczne wyjazdy na spotkania autorskie z dziećmi i dorosłymi w Szwecji i w Danii, gdzie zaproszona byłam przez Ambasadę Polską w Kopenhadze. Zaprosiła mnie Ambasada w Paryżu, gdzie miałam wspaniałe spotkanie z dziećmi, z którymi (tak jak i w innych miejscach) trudno było się rozstać. Wielokrotnie byłam w Niemczech, zapraszana z moimi tłumaczonymi na język niemiecki bajkami, nie tylko przez Polonię, ale i przez niemieckich organizatorów oświatowo-kulturalnych. Prawie wszędzie spotkaniom towarzyszyły miejscowe media.

Mam także ciągły kontakt z Polonią w Chakasji, gdzie syberyjskie dzieci do dziś uczą się języka polskiego z moich książek. Moje bajki są też czytane w Kanadzie na różnych polonijnych uroczystościach.

W 2005 i 2012 roku za edukacyjną formę mojej działalności otrzymałam Nagrodę Ministra Kultury, a w 2013 roku medal „Zasłużony dla Kultury Polskiej".

Czy ma Pani jakieś marzenie związane z pracą autora książek dla dzieci?

– Moim marzeniem jest odwiedzić kiedyś Odense, czyli miejsce urodzenia Hansa Christiana Andersena. Chciałabym napisać jego biografię, ale już w innej formie niż bajki dla dzieci.



Spotkanie z dziećmi w szkole w Tarnowie, październik 2017 r.

Strona autorki: www.jhw.com.pl

Wyznania tłumacza



Florian Śmieja

O istocie i funkcji przekładania literatury napisano wiele i każdy z nas naczytał się sporo teoretycznych wypowiedzi bardziej lub mniej przekonywujących i pomocnych. Nie znaczy to, by nie można było do nich dorzucić okruchów własnych percepcji i doświadczeń.

Tłumaczę już kilkadziesiąt lat. Od dziecka fascynowały mnie manipulacje słowem, nęciły wyzwania, by z obcych języków tworzyć wersje rodzime, przyswojone, choć właściwie nie miałem po temu sprzyjających warunków. Pierwszym moim językiem

była gwara śląska, opolska pomieszana z katowicką, jak wiemy, nieskodyfikowana, o mizernej literaturze, wyśmiewana i tępiona przez polonistów, a potem przez różne odcienie gorliwców i nietolerancyjnych kolonizatorów.

W domu rodzinnym nie zaznałem kindersztuby inteligenckiego gaworzenia ani kultu książki. W wiejskiej szkole podstawowej wzrastałem w przeciętnym środowisku rówieśników, dzieci górników, robotników i bezrobotnych, równie jak ja społecznie uwarunkowanych. Owszem, nauczyciele, których z perspektywy odległego czasu nie potrafię sprawiedliwie osądzić, próbowali nauczyć języka oficjalnego, a nawet zachęcić, jak to było w moim wypadku, do wydawania gazetki ściennej. Zasadniczo jednak inteligenckie odzywanie się przybyłych na nasze ziemie nauczycieli do małych dzieci mówiących gwarą – *widzę że miasto sprzyja wzrostowi* – zamiast – *wyrosłeś w mieście*, wywoływały konsternację i lęk powodujące raczej zahamowania niż harmonijny rozwój języka.

Kiedy bardzo wcześnie usiłowałem spolszczyć teksty łacińskie i niemieckie, były to prawdziwe wycieczki z motyką na słońce, gdyż dysponowałem zaledwie słabiutkimi zasobami języka docelowego, tj polszczyzny literackiej. Ten język należało koniecznie wzbogacić.

Ale przyszła wojna, znalazłem się daleko od własnego

społeczeństwa, inne języki rozlegały się dokoła. To wszystko nie wpływało dodatnio na moje aspiracje, z którymi trzeba było poczekać do innych czasów. Pomocna była, owszem, lektura. Wcześnie też zrozumiałem, że ważną rolę mogły spełniać przekłady na język polski, które pomagały usprawnić i wzbogacić warsztat, dając okazję do systematycznego wysiłku i częstego zaglądania do słownika, by przyswoić sobie słowa, synonimy, oboczności, idiomy.

Jednym z tekstów, którym wcześnie się zainteresowałem był tom hiszpańskiej prozy poetyckiej „Platero y yo" (Srebroń i ja). Spotkałem się z nim w późnych latach czterdziestych na studiach w Irlandii. Ponieważ proza ta podzielona była na sto kilkadziesiąt niewielkich rozdziałków, robiła wrażenie lektury łatwej. Dopiero po bliższym zapoznaniu się z tymi miniaturami wielkiego kunsztu poety-malarza przekonałem się o złożoności tekstu. Odcienie kolorów, różnorodność flory i fauny, malowanie nastroju, specyfika regionu okazały się nie lada wyzwaniem dla mało przezornego śmiałka, który brał się do przyswojenia arcydzieła literatury światowej swojemu językowi. Musiał np. niezwłocznie dopracować się rozległego spektrum malarskiej palety, ale przede wszystkim zobaczyć kraj poety, by ujrzeć na własne oczy jego świat i umieć go jednoznacznie wyrazić.

Pamiętam, jak nie potrafiąc zidentyfikować ptaka o lokalnej nazwie, pojechałem do andaluzyjskiego Moguer skąd pochodził

autor, Juan Ramón Jimenez, by na miejscu ten problem i inne podobne, zadowalająca rozwiązać. Szczęśliwym trafem znalazłem martwego ptaka pod jednym z drzew koło cmentarza i zacząłem wędrować od domu do domu pytając o jego nazwę. Mieszkańcy miasteczka wcale nie okazali się pomocni. Na pytanie, co to jest? – popatrzyli i mówili, że ptak. Ale jaki ptak? No, dodawali, mały ptaszek. Kto jednak przejechał kilka tysięcy kilometrów, by znaleźć się na ziemi poety, łatwo nie rezygnował. Tłumacz sumienny nie może się dać zniechęcić. Szukałem i pytałem dalej wytrwale. Skoro Jimenez zanotował wiele specyficznych szczegółów rodzinnej ziemi i umieścił w określonym czasie, należało je dokładnie poznać. Dlatego też po wiadomości na temat dawnego sposobu wypiekania chleba poszedłem do piekarza, który będąc osobą w starszym wieku pamiętał jeszcze zwyczaje sprzed lat. Cierpliwie mi wyłuszczył sekrety minionych procedur rzemiosła, uczynnie zapoznał z recepturą i nazwami pieczywa zachowanymi na stronach książki Jimeneza i ledwo już tylko pamiętanymi przez starych majstrów. Musiałem na oczy zobaczyć jeszcze starą sosnę, choć już zwaloną przez piorun, być o świcie w miasteczku w dzień wyruszenia na pielgrzymkę ustrojonych dwukołowych wozów do niedalekiej miejscowości El Rocio. To są korzyści płynące z autopsji.

Tytuł książki też ma swoją historię. Sam zaś utwór należy do tych, które można bez końca cyzelować i doskonalić. Jeżeli tłumaczenie opublikuje się wraz z tekstem oryginału, można

zobaczyć warsztat tłumacza, oglądać jego uniki czy zamierzone odchodzenie od tekstu. Słowem: epifania rzetelnie pojmowanej roboty.

Powieść Luisa Martineza Santosa wzięła rozbrat z panującą podówczas w Hiszpanii prozą socrealistyczną zwaną u nas „produkcyjniakami", uproszczonymi, zafałszowanymi w konsekwencji wizerunkami świata ukazującego w tendencyjnym świetle bytowanie tzw. proletariatu. Te powieści zawładnęły hiszpańskim rynkiem na jakiś czas i były szeroko kolportowane w byłym obozie socjalistycznym.

Złożoność powieści „Czas milczenia" – „Tiempo de silencio" i wyjątkowo trudny język – splot potocznej mowy madryckich przedmieść z językiem medycyny, elementy surrealistyczne i poetyckie stworzyły zagęszczenie lingwistyczne i stylistyczne łamańce, przez które trzeba się było mozolnie przebijać. Do tego autor już nie żył, bo zginął w wypadku samochodowym, nie mógł więc już objaśnić miejsc szczególnie uciążliwych dla tłumacza. W takich specyficznych wypadkach niewiele dawały konsultacje rodaków pisarza, równie jak tłumacz zagubionych, a często uważających za punkt honoru, by jednak dać jakąś odpowiedź. Tu radzę rozwagę. Tłumacz pozostaje sam ze swoim problemem, z kamieniem młyńskim u szyi, aczkolwiek również z ambitnym wyzwaniem i swoją intuicją wzbogaconą bliskim współżyciem z tekstem. Nie pomaga też krótki termin jego zadania.

Tłumaczem tej książki stałem się przypadkiem. Spytany o opinię przez krakowskie Wydawnictwo Literackie, powieść gorąco poleciłem, wydawnictwo zakupiło prawo do przekładu, lecz nie potrafiło znaleźć tłumacza, który chciałby się podjąć zadania. Zwróciło się do mnie, bym je wybawił z kłopotliwej sytuacji. Reszta jest – jak mówią – historią, aczkolwiek myślę o tej zaszłości bez entuzjazmu. Chociaż przekład znalazł swoich entuzjastów, ja do tej książki nie zaglądam. Stoi na półce.

Pokusiłem się o przyswojenie wyboru legend i listów literackich celebrowanego poety romantycznego Hiszpanii, Gustawa Adolfa Becquera. Pisarz ten znany w swojej ojczyźnie przede wszystkim z niedościgłych liryków, jest w tej książce narratorem tradycyjnych i twórcą własnych podań. Powiedział sam wyraźnie, że:

> Niełatwo rozróżnić to, co wyśniłem, od tego, co mi się wydarzyło.

W przekładzie starałem się odtworzyć subtelność uczucia bez popadania w sentymentalność, chciałem też, by mając w ręku listy literackie, polski czytelnik czuł, że posiadł klucz do liryki Becquera, nadal czekającej na kongenialne oddanie w języku polskim.

Innym utworem klasyki hiszpańskiej, który mnie urzekł, to szesnastowieczna nowela sentymentalna o mauryjskiej tematyce – Historia Abindarraeza i pięknej Haryfy – krążąca również pod tytułem Abencerrag. W tym wypadku mamy do czynienia z wczesną perłą prozy kastylijskiej, z podaniem o rycerskości kombatantów na płynnej granicy chrześcijańsko-muzułmańskiej w Andaluzji. Aczkolwiek przedstawionych adwersarzy różni rasa, narodowość i religia, łączy ich etos szlachetnego człowieka, który w końcu zwycięża.

Dla tłumacza pewne wyzwanie stanowił nie tylko język epoki, ale również dworska dykcja używana nie tylko w dialogach, ale również w cytowanych listach, a także kwiecisty styl wynurzeń kochanków, sentymentalność, ale nie łzawość. Aczkolwiek wizerunek obu obozów ogranicza się do elity, do reprezentantów przednich rodów, przesłanie opowieści jest szlachetne i daje przykład wzniesienia się ponad uprzedzenia i zwyczaje epoki. Jaśnieje nie tylko postać bohaterskiego hiszpańskiego wodza, ale także ogłada i cnota arabskiego przeciwnika. Obaj zasłużyli na miano człowieka.

Wymienię tu także dwie powieści meksykańskie przeze mnie przełożone i drukowane w Krakowie i Wrocławiu. Tłumacząc literaturę dawnej kolonii, przechodzimy z języka macierzystego, kastylijskiego, do języka byłych posiadłości imperialnych, nieco innego w słownictwie, idiomach, stylu, o odrębnej ewolucji i

funkcji, słowem, mamy do czynienia z odmiennym medium różniącym się bardzo od języka-bazy, w tym wypadku hiszpańskiego, tak jak inaczej musielibyśmy podchodzić do tekstów literatury amerykańskiej w kontraście z dziełami pisanymi przez Brytyjczyków.

Pierwsza z tych powieści to „Gniew" Mariana Azueli, w oryginale „Los de abajo". Jest to oryginalna powieść o rewolucji i prototyp gatunku. Sądzę, że bardzo mi pomogła wyprawa w okolice, w których rozgrywała się akcja powieści. Spod Guadalajary pojechałem autobusem do Zacatecas pilnie studiując krajobraz i ludzi, by tłumaczenie szło gładko. Jestem przekonany, że zaoszczędziłem sobie wielu wahań i wertowania słowników znając krajobraz z autopsji. (Tu może napomknę o wczesnym tłumaczeniu z języka angielskiego książki o Fatimie, która ukazała się bodaj w 1956 roku w Londynie i w Polsce była ulubioną książką UB, bo jej szukało nawet w bibliotekach klasztornych). Otóż, w tekście angielskim słowa *hill, mountain, elevation, hight* mogły znaczyć różne rzeczy: górę, wzgórze, wzniesienie, pagórek, kopiec – a ja, nie znając Portugalii, musiałem w ciemno decydować, którego słowa użyć. Nie jest to komfortowa sytuacja i jak tylko było to możliwe, pojechałem do Fatimy, by zobaczyć na własne oczy to, co znałem tylko z tekstu i z jednego tekstu wkładałem w drugi. Ale przekład już się wtedy ukazał, więc to co sknociłem, pozostało. (Pewnie każdemu tłumaczowi zdarzają się fatalne potknięcia, mimo ustawicznego

dzierżenia się na baczności. Pół biedy, jeżeli wydawnictwo, z którym współpracuje, zatrudnia wytrawnego i doświadczonego redaktora, którego smykałka i erudycja w lot błąd wychwycą i poprawią. Najczęściej jest jednak inaczej, pomyłkę utrwali druk, a choć może czytelnik go nie zauważy, pamięta o nim autor do końca życia. Jedną z moich przykrych wpadek było odczytanie z dużej litery pisanego angielskiego słowa *Quinquireme*, jako imię własne zamiast *pentera* w wierszu Johna Masefielda w trzytomowej „Antologii poezji angielskiej" wydanej przez PIW. Chochlik także sprawił, że nagle pisząc o srebrnym osiołku Srebroniu nazwałem go złotym, sprawiając wymarzoną niespodziankę krytykowi. Nie na próżno mawiał redaktor Mieczysław Grydzewski, by sprawdzać i sprawdzać bez końca. Raz jeszcze porzekadło, by jechać koniecznie do krainy poety, którego chcemy zrozumieć, okazało się ważne. I nadal taki wojaż każdemu tłumaczowi polecam.

Druga powieść meksykańska, która przeszła przez mój warsztat była popularną powieścią z czasów *cristeros*, katolickich powstańców, którzy walczyli z rządem narzucającym siłą ateizm. Tło geograficzne poznałem w czasie pobytu w zachodnim Meksyku, a także od wielu górali, którzy brali udział w walkach. Odwiedzałem ich w ich wioskach i długo z nimi rozmawiałem. Ta przygodowa historia dwojga kochanków należy do łatwych czytanek, których nie sposób odłożyć, bo wciągają nie roszcząc sobie żadnych pretensji do nowatorstwa i wyrafinowanych

technicznych zdobyczy. Uważałem, że i takie książki należy tłumaczyć, szczególnie z języków mniej w Polsce dostępnych. Mój przekład ukazał się jako „Zadumana" w prywatnym wydawnictwie Wacława Bagińskiego we Wrocławiu. Było to niestety wydawnictwo bez siły przebicia, choć ambitne, lansując szereg znakomitych pozycji wydawniczych.

Na minutę zatrzymam się przy krótkiej powieści, którą tłumaczyłem z języka portugalskiego na polski. Myślę o „Misji" Ferreiry de Castro. Przełożywszy i wydawszy ją jako pozycję serii Jednorożca w Państwowym Instytucie Wydawniczym, zobaczyłem ją później jako sztukę pasującą na tamtym etapie ideologom PAX-u. Zrobienie z powieści scenariusza i wprowadzenie na scenę bez wiedzy tłumacza było sprawką ówczesnych działaczy kulturalnych.

Jestem też autorem polskiej wersji wybranych liryków arabsko-andaluzyjskich wydanych po raz pierwszy po hiszpańsku w latach czterdziestych ubiegłego wieku przez wybitnego arabistę Emilia Garcia Gomeza. Utwory te napisane w języku arabskim powstały w średniowiecznej Andaluzji i ich ułomki zachowały się do naszych czasów, by przetłumaczone na hiszpański zadziwić świeżością, delikatnością i wielkim kunsztem poetyckim. Są one owocem orientalnej tradycji i hiszpańskiego krajobrazu: kasydy i gazele, ody i erotyki sławiące miłość, noc, biesiady, wodę, oręż i konie.



Okładki tłumaczonych książek.

Przekładanie nie z oryginału zmusza do używania tekstu pośredniczącego za wzór podstawowy, tzw. rybki. On dyktuje nie tylko treść, ale i formę. Jest to kompromis nie do ominięcia. Dla mnie, nie znającego języka arabskiego pierwowzoru, nie było innego wyjścia. Zawierzyłem we wszystkim uczonemu arabiście hiszpańskiemu, a w czasie wymiany listów z nim, ambasadorowi w Bagdadzie, trzymałem się go ściśle, nie dopuściłem się żadnej redukcji ani amplifikacji sądząc, że w ten sposób nie popełnię żadnych ekscesów, a polski czytelnik jednak odczuje smak tej niezwykłej, sędziwej liryki.

Zachowałem też pieczołowicie nazwiska średniowiecznych autorów oraz daty ich życia i twórczości. Skoro nie była to poezja anonimowa, uważałem, że należy zachować jej osobliwość i wyróżniające cechy. Łobodowski natomiast, który również się kasydami i gazelami zainteresował, wymyślił teorię zgodnie z którą poezja arabska była domeną publiczną, a polegała na przetwarzaniu motywów powszechnie znanych, gdzie normalne były zapożyczenia. Ceniło się sprawność z jaką poeta z zastanych elementów potrafił zestawić zaskakujący utwór. Ważna była maestria, a nie oryginalność. Tylko zachodzi pytanie, czy polski pisarz, nie znający języka arabskiego, nawet jeśli mieszkał w Hiszpanii, może twierdzić, że obraca się w kręgu i klimacie średniowiecznej arabskiej poetyki i jej bardów? Wolno mu brać od nich bezkarnie utwory i wtrącać je w anonimat, w imię jakiejś kapryśnej teorii przywłaszczyć sobie cudzą pracę?

Próbowałem też przekładać z języka polskiego na język hiszpański. Kiedy zebrała się kolumna przetłumaczonych aforyzmów J.S. Leca, drukowałem ją w czasopismach hiszpańskich, kolumbijskich czy meksykańskich. Pokusiłem się później o mały wybór i moje wysiłki zostały ukoronowane książeczką „Pensamientos desmelenados”, którą w roku 1985 w nakładzie czterech tysięcy wydała meksykańska *Universidad Autonoma*. Innym eksperymentem było przekładanie, względnie współpraca nad przekładem własnych wierszy. Czytając takie angielskie wersje nieodmiennie czułem inność tonacji tych

wierszy. Napisałem nawet wiersz czy dwa po angielsku chwyciwszy widocznie falę, ale był to wyjątek nie rokujący żadnej nadziei na obfitsze żniwo.

Byłem na kilku ogólnopolskich konferencjach przekładowych w Krakowie. Jedna z nich obrała sobie prowokacyjny tytuł „Czy zawód tłumacza jest w pogardzie?" Chodziło w zasadzie o tłumacza literatury pięknej. Odpowiedzi były raczej pesymistyczne. Ogólnie przyznawano, że to już nie te czasy, kiedy „Psałterz" był Jana Kochanowskiego, „Jerozolima wyzwolona" Piotra Kochanowskiego, „Dworzanin" Górnickiego, a „Książę niezłomny" był Juliusza Słowackiego.

Tłumacz dzisiejszy, stwierdzono, pracuje w innej zupełnie sytuacji. Rzadko kiedy tłumaczy sobie a muzom: najczęściej jest na etacie. Kontraktuje go wydawca, który u niego zamawia tłumaczenia i płaci mu, niewiele, ale płaci.

Inaczej zgoła ma się tłumacz z Bożej łaski. Polubi tekst, przekłada *con amore,* ale najczęściej bez komercyjnego powodzenia. Po pierwsze, nie podpisał kontraktu, więc może się okazać, że nie otrzyma praw autorskich, albo że już się spóźnił i ubiegł go ten, co rutynowo pracował na zamówienie.

Wiem o czym mówię, bo przełożywszy chilijską sztukę „Papierowe kwiaty" i mając w kieszeni pozwolenie autora,

zobaczyłem tę samą sztukę nieco później wydrukowaną w „Dialogu”. Przekładu dokonała pani, która nie posiadała autoryzacji, ale znalazła łatwy dostęp do miesięcznika, zdawało by się poważnego czasopisma fachowego, dbającego o zachowanie dobrych manier wydawniczych. Drukując sztukę rzutka osoba dostarczyła gotowego tekstu reżyserom teatrów i przesądziła sprawę. Piractwo? Nowe metody?

Skoro o złych zachowaniach mowa, to do kolekcji dorzucę jeszcze jeden rodzynek. Bawiąc kiedyś w Warszawie rozmawiałem o wspomnianej już uprzednio, a przełożonej z języka portugalskiego krótkiej powieści Ferreira de Castro „Misja”. Mój rozmówca przytaknął mówiąc, że o takiej sztuce słyszał. Poprawiłem, że to była proza, ale okazało się, że on miał rację. Pokazał mi repertuar teatrów warszawskich. Istotnie Teatr Propozycje grał sztukę Ferreira de Castro. Ponieważ wystawienie zorganizował „Pax”, poszedłem się poinformować o sprawie.

Okazało się, że Teresa Sobańska-Dąbrowska adaptowała powieść i zrobiła z niej tekst sceniczny. Pamiętam, że reżyserowała sztukę Magda Teresa Wójcik, a grali m.in. Henryk Boukołowski, Piotr Brzeziński, Krzysztof Kalczyński, Cezary Kapliński i inni. Zapanowała chwilowa konsternacja, a potem ratowanie sytuacji. Na pamiątkę dostałem wydrukowane zaproszenie. Widniało na nim nazwisko autora i sprawczyni scenariusza. Zgodnie z takimi

praktykami mojego nazwiska nie było. Wręczono mi natomiast wiązankę kwiatów na pocieszenie, tysiąc złotych i bilet na przedstawienie 17 grudnia 1974 roku. Nie wiem czy i jak załatwiono sprawę z wydawnictwem PIW, w którego serii Jednorożca ukazał się w 1972 roku mój przekład.

Może warto jeszcze dodać, że tłumacz żyjący na emigracji miał nie tylko spóźniony start i najczęściej ubiegali go lokalni ludzie, ale ponadto nie liczył się w oczach naukowców i krytyków lojalnych wobec władz, a tych nie brakowało. Piszący o Jimenezie z lekkim sercem odpisywał na straty trud Łobodowskiego uważając, że nasze przekłady nie były ważne, skoro mieszkaliśmy na emigracji. Nie przyszło tym naszym ówczesnym krytykom do głowy, że w jednym wypadku wynosili trwanie Jimeneza do śmierci poza Hiszpanią, a w drugim ganili rodaków za przebywanie na obczyźnie. Tłumacz literatury pięknej jest jednym z jej największych miłośników, bo pracuje za marne pieniądze, jeśli nie za darmo, poświęca wiele trudu dla sprawy dokładając nieraz do wydawnictwa. Bardzo często oddaje swój przekład za darmo, ciesząc się, że się ukazuje drukiem. Przekład bywa niekiedy hołdem zapalonego wielbiciela. Kiedy na początku dziewiętnastego stulecia zapanował kult hiszpańskiego dramaturga Calderona, Juliusz Słowacki nauczył się języka hiszpańskiego, by wyczarować genialny przekład i stać się współautorem „Księcia Niezłomnego”. Przekład każdego wybitnego dzieła literackiego jest znakomitym wkładem nowej

energii w rodzimą literaturę. Mamy przykłady licznych emigrantów, wkładających wiele wysiłku i pieniędzy, by zostawić taki legat i starannie deponujących egzemplarze w archiwach i wielkich bibliotekach zagranicznych. Paradoksalnie więc, w ten sposób jest propagowana literatura piękna, a satysfakcja z obcowania z tekstem znaczącym i zadowolenie z przyswojenia językowi polskiemu obcego dzieła, to wszystko czego może spodziewać się tłumacz. Bo zazwyczaj, jeżeli już ukaże się omówienie książki, najczęściej nie znajdziemy nawet nazwiska tłumacza, a tym bardziej oceny wysiłku, jaki włożył w swoją pracę, a bez którego książki by po prostu po polsku nie było. Ileż to razy przekład jest rekreacją i świetnym dziełem, pomyślmy tylko o mistrzostwie Boya-Żeleńskiego, o Słowackim.

Nie znaczy to, by nieprzeciętnych tłumaczy nie było i dziś. Niektórzy z nich właśnie dzięki przekładom z literatury zasłynęli i zdobyli pozycję, zaszczyty i godności. Myślę tu o Karlu Dedeciusu.

Poszczęściło się polskiej literaturze, że Dedecius, który zaczynał od tłumaczenia Rosjan, szczególnie upodobał sobie polską poezję. W tekstach polskich znalazł właściwe natchnienie, które stało się początkiem wyjątkowej kariery. Na początek ułożył antologię „Lekcja ciszy” (Lektion de Stille) i wydał ją w 1959 roku. Znalazło się w niej 36 poetów z kraju i emigracji. Antologia stała się wielkim sukcesem i miała kilkadziesiąt omówień w

czasopismach w Niemczech.

Dobrze pamiętam okoliczności powstania tej antologii, gdyż w Londynie otrzymałem list tłumacza z prośbą o pomoc. Współpraca z nieznajomym Niemcem nie znajdowała w owych czasach wielu zwolenników ani w kraju ani za granicą. Z przyzwoleniem Józefa Jaksińskiego, który posiadał bogaty zbiór poezji, przygotowałem trzy paczki książek i wysłałem 30 zbiorów wierszy do Niemiec. W niecały rok później ukazała się antologia. A w ślad za nią, powstała cała biblioteka przekładów, które pilny Dedecius szykował z uporem i zdumiewającym kunsztem.

> Tłumacz to, co oryginalne, nie to, co naśladowane, podrabiane, przypadkowe. Unikaj rzeczy chodliwych. To, co dobre, zachowa swoją wartość tak, czy inaczej

– napisał Dedecius w „Notatniku tłumacza”.

Rada to czy pociecha?

Artykuły powiązane:

http://www.cultureave.com/opowiadanie-polaka/

http://www.cultureave.com/fatima/

http://www.cultureave.com/sladami-srebronia-juan-ramon--jimenez-1881-1958/

http://www.cultureave.com/wschod-ogladany-przez-pejzaz--andaluzyjski-o-kasydach-i-gazelach-jozefa-lobodowskiego/

http://www.cultureave.com/tlumacz-wytrawny-karl-dedecius/

Prof. Florian Śmieja otrzymał w 2015 roku od króla Hiszpanii Filipa VI Krzyż Komandorski Orderu Izabeli Katolickiej za działalność translatorską i propagowanie języka, kultury i literatury hiszpańskiej na świecie.

http://www.cultureave.com/wywiad-z-prof-florianem-smieja/

“Podróże z moją

kotką”. O literaturze i zwierzętach.

Rozmowy o książkach, które nie przemijają



Aleksandra Ziółkowska-Boehm z kotką Suzy, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

„Podróże z moją kotką” przeczytałam jednym tchem. Skąd pomysł na książkę, której główną bohaterką została kotka Suzy?

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

– Mając w dzieciństwie psy, patrzyłam na koty życzliwie, ale trochę z góry. Czekoladowo-złota kotka Suzy, weszła w życie moje i mojego męża trochę nieoczekiwanie, podczas naszego pobytu na kontrakcie w Houston w Teksasie. Suzy, takie imię jej nadał mój mąż Norman, okazała się niezwykle inteligentna, pojętna, sprytna i przymilna. Oczekiwała i wymagała uczuć, które też sama całym sercem nam oddawała. Zaskoczona swoimi spostrzeżeniami, tymi jakby nie-kocimi, bardziej psimi reakcjami Suzy, mówiłam i pisałam o niej do znajomych i przyjaciół, aż postanowiłam napisać książkę.

Koty w literaturze mają swoje miejsce. Jest kot Behemot z „Mistrza i Małgorzaty” Bułhakowa. Jest legendarny paryski kot, przynoszącego codziennie pewnej wdowie rybę złowioną w Sekwanie. Przykładów obecności kota w utworach zarówno poetyckich, jak i prozatorskich jest dużo. Nigdzie jednak kot nie został potraktowany w tak antropomorficzny sposób, jak pełnoprawny partner człowieka, z indywidualnością, charakterem, odrębnym

sposobem bycia, humorami. Czy świadomie kreowała Pani literacki świat Suzy i innych zwierząt w taki właśnie sposób?

– Obserwując Suzy, zdumiewała mnie jej indywidualność, jej uczuciowość, reakcje na różne sytuacje. Miała ona swój świat, wrażliwość, wymagania i oczekiwania. Na okazaną przez nas uwagę i dbałość odpowiadała zaufaniem i wielkim uczuciem, którym mnie i Normana całkowicie podbiła. Oboje bardzo ją pokochaliśmy, nasze wyjazdy układaliśmy wokół niej. Towarzyszyła nam w ponad dwumiesięcznej wyprawie do indiańskich rezerwatów siedząc obok na specjalnym siedzeniu wpasowanym między nami w samochodzie Jeep-Cherokee. Codziennie nocowała w innym motelu, hotelu, podporządkowała się rytmowi dnia, nie protestowała, nie usiłowała uciekać. Miała do nas zaufanie, że ta wyprawa ma jakiś szczególny sens, skoro ją przedsięwzięliśmy. A swoją obecnością umilała nam niejedną podróż.

Suzy wiele razy jeździła z nami także samolotami do Polski. Miała swój bilet, siedziała w torbie pod siedzeniem, od czasu do czasu kładliśmy torbę na kolanach, wystawiała pyszczek by popatrzeć na ludzi w samolocie. Spokojnie znosiła nawet kilkanaście godzin niewygód. Lubiła być w pobliżu nas, podążała za nami po pokojach jak piesek, oczekując wieczorami codziennych spacerów, w czasie których biegła obok. Rozumiała

wiele słów, np. słowo *walk* (spacer). Gdy je usłyszała biegła do drzwi i czekała, aby o niej nie zapomnieć.

Uważam, że jeżeli poświęca się zwierzęciu uwagę i mówi do niego, odpowiada uczuciem i inteligencją.



Kotka Suzy, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.



Suzy i Claude na biurku pisarki, fot. arch. A. Ziólkowskiej-Boehm.

Z Pani książki wynika, że związek ze stworzeniem takim jak Suzy stwarza człowiekowi nową jakość życia, człowiek staje się bogatszy o nową wrażliwość, zaczyna dostrzegać piękno i dobro tam, gdzie dotychczas tego nie zauważał. Czy Pani swoją kreacją bohaterki celowo nawiązywała do szalonej ciotki bogatego snoba, pokazującej mu inny świat niż ten, w którym żył do tej pory, z powieści Greene'a „Podróże z moją ciotką"?

– Tak właśnie się stało. W tytule celowo nawiązałam do pięknej książki Grahama Greene'a. Suzy pokazała mi nie tylko inny świat

i jakby otworzyła na inną rzeczywistość, także wzbogaciła, uwrażliwiła na sprawy zwierząt i w ogóle natury. Mam ogród, o który dbam, który kwitnie od marca do listopada wciąż innym bogactwem. Mam karmniki, jeden specjalny dla kolibrów i mam dwa koty, które obserwują ptaki zabawnie pomiaukując. Ale zostawiają je w spokoju uważając zapewne za część naszego domostwa.

Jakie jeszcze literackie powiązania miała Pani na myśli, pisząc tę książkę?

– Pamiętam dobrze książki czytane w dzieciństwie opisujące związek człowieka ze zwierzęciem, np. Jacka Londona „Biały Kieł" czy kanadyjskiego pisarza Courwooda. Pamiętam historię o piesku Karusku z książki Prusa „Anielka". Duże wrażenie pozostawiła na mnie piękna, niezwykła kronika przyjaźni z wydrą zatytułowana „Wydra Pana Grahama", czy „Born Free" o lwicy Elsie, której poświęcono także film. Czytałam Audrey Topping „Charlie's World. The improbable adventures of a Hong Kong cockatoo and his American family". Jest to opis niezwykłej 30-letniej przyjaźni z papugą. Autorka, z którą mam wciąż kontakt, wydała poważne książki o Chinach i Tybecie, także pełne wzruszeń opowieści o ptaku, który zdobył serce jej i całej rodziny.

Czy Pani zamierzeniem była rola edukacyjna tej książki,

czy też rolę tę książka pełni niejako „przy okazji”.

– Zamierzeniem było podzielenie się swoimi obserwacjami, takie czułe obserwowanie zwierzęcia. Cokolwiek przy okazji wywołuje ta książka, to już jest sprawą odbioru. Recenzent w „Nowych Książkach” napisał, że jest to książka o… samotności Ameryki. Brzmi interesująco, ale nie wiem do końca, co to znaczy.

Piszę na początku „Podróży z moją kotką”, że chciałabym, by każdemu w czasie jej lektury zrobiło się przyjemniej i weselej.

Krzysztof Koehler, poeta i naukowiec, napisał mi: *Cieszę się na nią i ilekroć podgryzają mnie jakieś smuteczki lubię sobie przeczytać z niej jakąś „historię”*.

Pani książka jest nie tylko o zwierzętach, ale i o ludziach. Czytając kolejne Pani książki, wchodzi się stopniowo w świat wypełniony przyjaźniami i przyjaciółmi, dobrymi znajomymi, wspomnieniami z różnych miejsc czy sytuacji. Pani książki są niezwykle szczere, pozbawione fikcji literackiej, zmian imion czy miejsc. Daje to duży ładunek emocji w odbiorze, zbliża czytelnika do Pani życia, które jest bogate, pobudza do refleksji. Tak samo „zbudowane” są „Podróże z moją kotką”. Codziennie spacery, codzienne zabiegi, obserwowanie, nawiązywanie kontaktu przez człowieka z kotem, papugą, królikiem. Właśnie ta prostota

narracji, ten reportaż z życia ludzi i zwierząt daje tak duże bogactwo treści. Czy taka właśnie, bezpośrednia forma, jest Pani ulubioną formą wypowiedzi?

– Ta forma jest mi bliska od dawna – snucie własnych opowieści do kogoś, do czytelnika, którego cenię i lubię. I jeżeli zechce posłuchać – opowiem mu o swoim życiu i ludziach, których spotykam. Także o zwierzętach, o których pisałam np. w „Ulicy Żółwiego Strumienia", w „Blisko Wańkowicza" o jamniczku pisarza Dupku, i o kolejnym Bisiu. O zwierzętach moich bohaterów pisałam także w książce „Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego krzyża" (o kotach, psach, kozłach, szczurach, wielbłądach, indyku, kogucie, kurach, jaszczurce). W książce „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon" napisałam o stadninie koni arabskich Jerzego i Anny Bąkowskich. Ich córka Ewunia, która kochała wszystkie zwierzęta, miała szczególny kontakt z końmi, z którymi spędzała długie godziny. Na przykład dokarmiała smoczkiem młode źrebaki, które wymagały specjalnej opieki. Inne, starsze podążały za nią po okulniku jak pieski. Jej ulubione konie to Irenka (arabka wierzchówka, która urodziła się z krzywą szyjką). Hodowała także kury i prosięta.



Ewa Bąkowska opisana w książce „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon” w dzieciństwie z koniem.

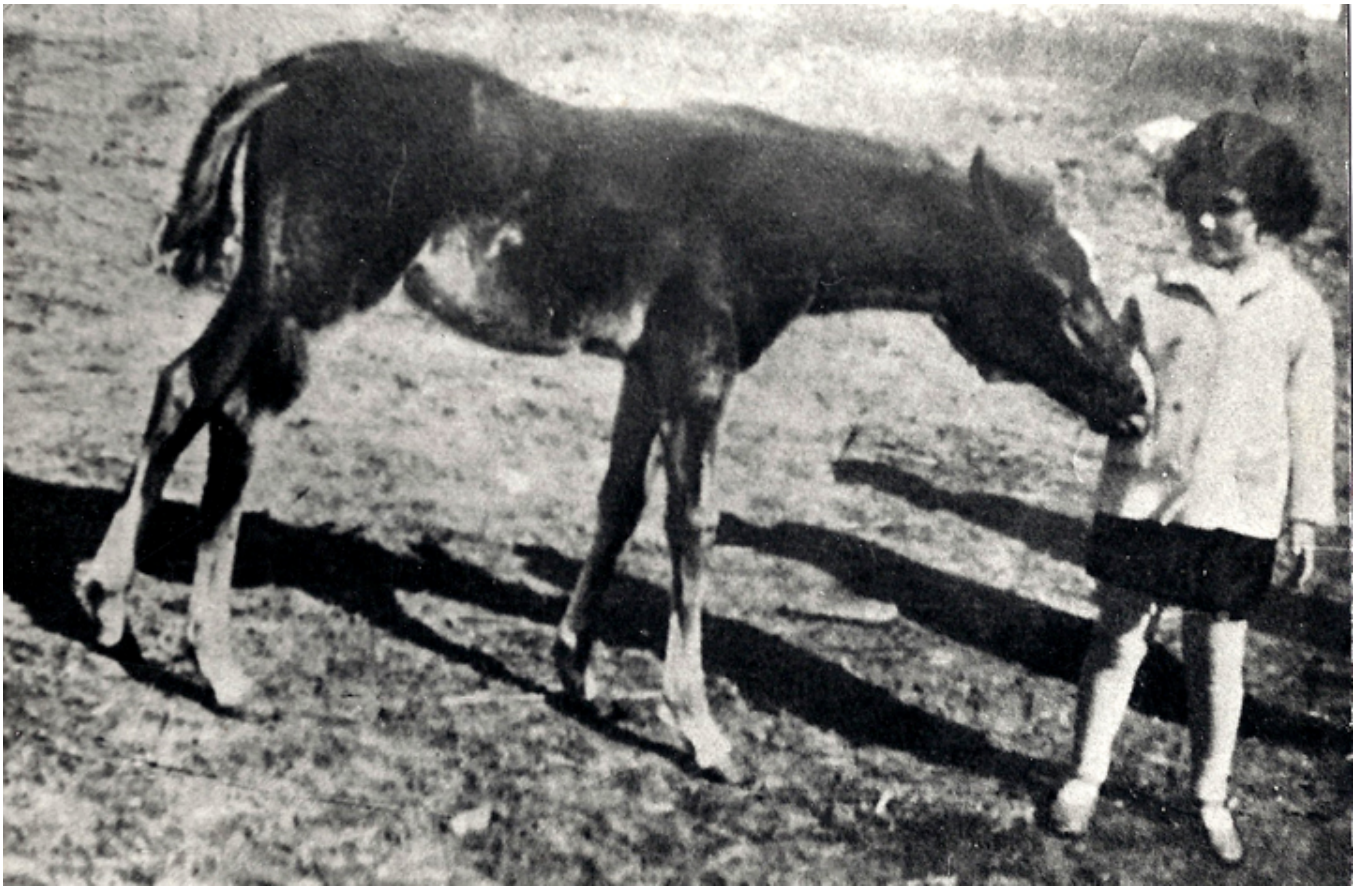

Ewa Bąkowska opisana w książce „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon” w dzieciństwie z koniem Irenką.

Książka o kotce Suzy składa się z dwóch części: z życia tytułowej bohaterki Suzy i jej otoczenia oraz wspomnień o zwierzętach pisanych przez inne osoby. Co kierowało Panią przy dokonywaniu takiego wyraźnego podziału?

Chciałam pokazać, jak wiele osób, dziennikarzy, aktorów, nauczycieli, poważnych, często ze znanymi nazwiskami, jak Szymon Kobyliński (krótko przed śmiercią przesłał mi swoją kocią opowieść), Zofia Korbońska, Jagienka Wilczak, podziwia i dba o koty. Pokazałam, że jesteśmy w całkiem dobrym towarzystwie.

Jak odnosili się Pani przyjaciele i znajomi do takiego pomysłu na książkę?

– Posłałam fragment Szymonowi Kobylińskiemu, który mnie zachęcał pisząc, zacytuję jego list (jest w książce „Nie minęło nic prócz lat”):

Śliczny kawałek o podróżniczce-automobilistce Suzy. Kto wie, a nuż dołączysz do pisarzy takich, jak Karel Capek, Kipling, London czy Dygasiński lub niezapomniany Grabowski z Pucem i Bursztynem, a więc literatów sławiących urok i wdzięk zwierzęcia u boku. Ów fragment dowodzi, że masz odpowiednie wyczucie sprawy, czy raczej ten zmysł czułej obserwacji. Oby tak dalej i obficiej!

Mój mąż Norman, nie mówiący po polsku, bardziej ten temat rozumiał niż polskie zawiłości historyczne, którymi zajmowałam się wcześniej, i o których próbowałam mu opowiedzieć. Był wręcz entuzjastą tej książki. Mój syn – Tomek, architekt i fotoreporter – patrzył na mnie trochę ze zdumieniem, mówił: *Mamo, uważaj, by nie odebrali cię jako ekscentryczkę,* niektórzy znajomi w Polsce byli – powiedzmy – sceptyczni. W Polsce, jak mi napisał przywoływany wcześniej Krzysztof Koehler, wciąż zwierzęta są tematem do końca nie ujętym i traktowanym jako sprawa prywatna.



Norman Boehm z kotką Suzy, Crazy Horse Memorial, South Dakota, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.

Gdy wydawca ogłosił książkę na drugim miejscu bestselerów roku 2002, które zdobyła będąc tylko dwa miesiące na rynku, gdy została wybrana przez księgarzy w Polsce „książką tygodnia" (ostatniego tygodnia grudnia 2002), jakby wszyscy sceptycy zmienili zdanie i mówili, że stało się to po lekturze. Przyznam, że i ja się bałam, żeby to nie była książka „kici, kici", tylko życzliwa i przyjazna, ale też z dystansem do tematu.

Największą bodaj radość sprawiła mi słynna warszawska Księgarnia Naukowa im. B. Prusa, która całe okno wystawowe poświęciła specjalnie tej książce.

W jakim momencie Pani działalności pisarskiej powstała ta książka?

– Przez trzy lata współpracowałam z Jerzym Giedroyciem przy tomie z cyklu *Archiwum Kultury*, który ukazał się tuż po jego śmierci „Korespondencja: Jerzy Giedroyć – Melchior Wańkowicz". Opracowanie listów, przypisy, wstęp, ustalenia, które konsultowałam z Redaktorem, dotyczyły nieraz trudnych tematów. Dotyczyły okresu tuż po wojnie, trudnych lat emigracji politycznej. Konflikty, nieporozumienia, różnice zdań, wyroki wydawane na kolegów, ostracyzm, wielka i mała polityka – były tematem wielkiej emigracji tych lat. Mając dostęp do archiwum Wańkowicza, bo jest ono zapisem testamentowym pisarza w moim posiadaniu, znając więc pewne sprawy od jego strony,

musiałam niejako walczyć o jego – ogólnie mówiąc – sprawy i jego dobre imię.

Nie przeciągając już tego zagadnienia, chcę powiedzieć, że niełatwo mi było, osobie urodzonej kilka lat po wojnie, zmierzać się z tematyką i problemami, które znam jedynie z dokumentów. Spoczywał na mnie obowiązek obrony imienia pisarza, a jednocześnie byłam pod wielką presją wielkiego Redaktora paryskiej „Kultury". Wymieniliśmy wspólnie ok. 300 listów i faxów, pojawiały się konflikty i ostrości, zawsze jakoś wyprostowujące się.

Po takiej pracy dokumentalisty chciałam mieć swoistą przerwę i… napisałam książkę, której pisanie było dla mnie swoistą terapią. Chcę wspomnieć, że Jerzy Giedroyć lubił zwierzęta i od czasu do czasu pytał mnie – jak pani koteczka?…



Aleksandra Ziółkowska-Boehm z kotką Suzy, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.

„Podróże z moją kotką" wyszły również w Ameryce po angielsku. Jak książka została odebrana przez angielskojęzycznego odbiorcę?

– Była to moja druga (po książce na tematy Indian) książka w języku angielskim, która ukazała się w Stanach. Przeczytałam piękną opowieść o nawiązanej bliskości niewidomego z psem, i napisałam do wydawcy – *Purdue University Press* (*West*

Lafayette, Indiana), że ja mam podobną książkę… o nawiązanej szczególnej bliskości z kotem. Dostałam mailem odpowiedź, aby przysłać fragment, potem drugi mail, by przysłać więcej i niebawem zaproponowano mi podpisanie umowy.

Co mnie ucieszyło, że książkę nie wydał wydawca, który „kocha koty", tylko uniwersyteckie wydawnictwo, które drukuje piękne książki. *Purdue Universit*y szczyci się wysokim poziomem studiów weterynaryjnych (*College of Veterinary Medicine*).

Książka ma tytuł „On the Road with Suzy. From Cat to Companion" (ISBN 978-1-55753-554-2).

Pojawiły się ładne recenzje i głosy, między innymi wspominanej wcześniej autorki książek Audrey Ronning Topping.

Dwa rozdziały w książce są pióra mojego syna (Thomas Tomczyk) – na temat amerykańskiej „farmy dla kotów" (*A Second Chance Farm*) i na temat zwierząt w Indiach (*Animals in India*). Zacytowany jest Mahatma Gandhi, że… *wielkość narodu i jego postęp moralny może być oceniany według sposobu, norm, w jaki traktuje zwierzęta* (*The greatness of a nation and its moral progress can be judged by the way its animas are treated*).

Książka miała już kilka wydań, a Pani nadal ma spotkania z czytelnikami, których ujęła Suzy i stworzony przez Panią

literacki świat. Proszę o tym opowiedzieć.

– „Podróże z moją kotką” w języku polskim miały dwa wydania, na spotkaniach nieraz jestem pytana – czy napiszę dalszy ciąg przygód Suzy. Amerykańskie wydanie „On the Road with Suzy From Cat to Companion” ukazało się w 2010 roku i wciąż ma dodruki. Wydawca amerykański – widząc, jakie ten tytuł ma powodzenie, wysyła mi do wewnętrznych recenzji teksty, nad których wydaniem się zastanawia.

Niemałą radość sprawia mi, że książka miewa się dobrze… (ale kotom tego nie mówię…).

Polskie wydania „Podróży z moją kotką”

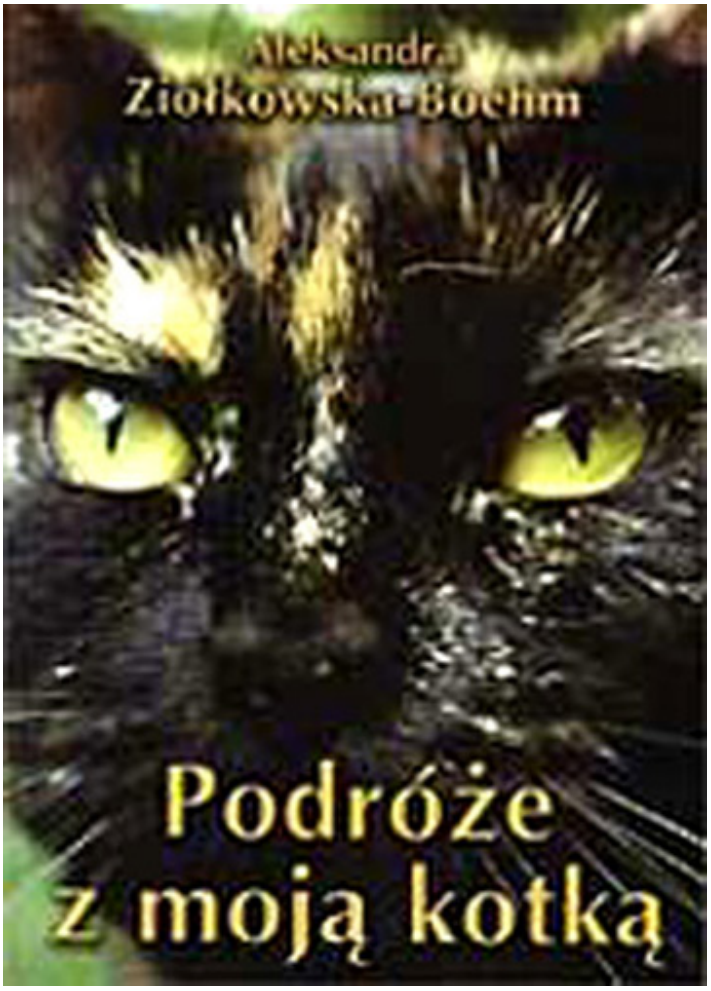
Aleksandra
Ziołkowska-Boehm
Podróże
z moją kotką


ALEKSANDRA
ZIOŁKOWSKA-BOEHM
PODRÓŻE
Z MOJĄ KOTKĄ

Angielskie wydanie „On the Road with Suzy. From Cat to Companion”

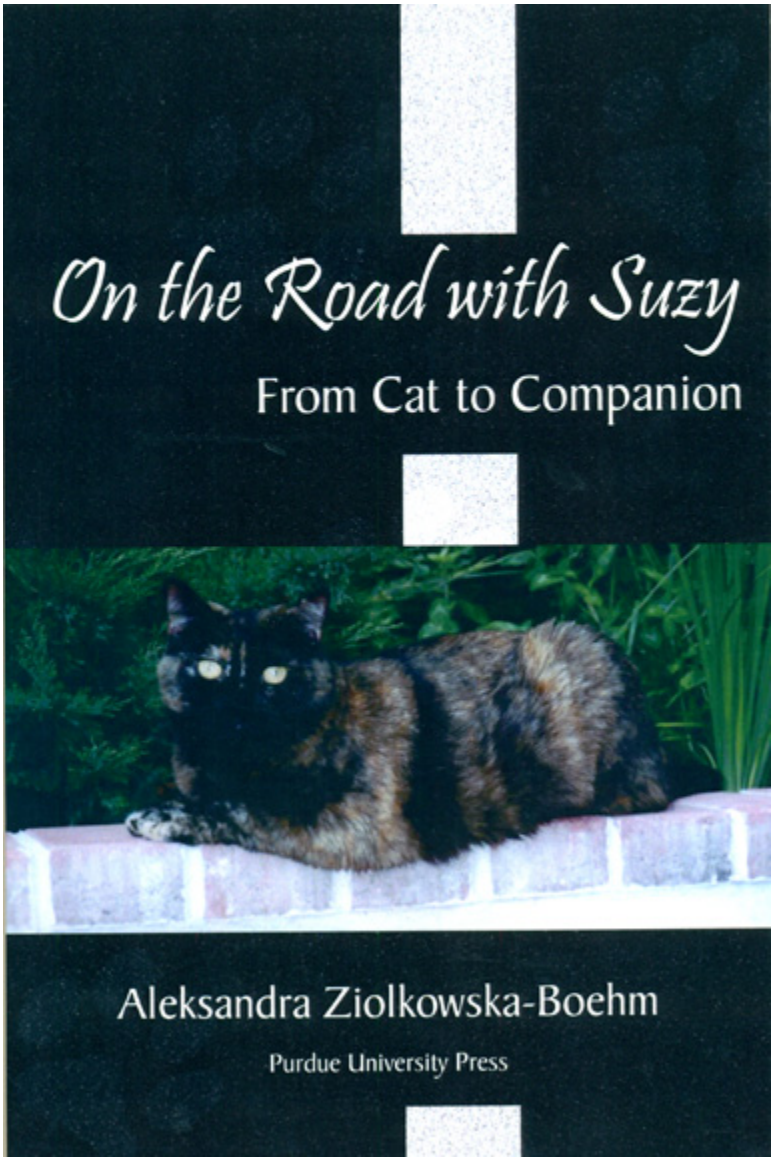

XXV Festiwal Poezji „Maj nad Wilią”. Wilno 2018 r.

Romuald Mieczkowski

Będzie to wydarzenie szczególne w życiu kulturalnym ze względu na wyjątkowych gości: poetów, aktorów, filmowców i animatorów kultury z wielu krajów, m.in. z Australii, Austrii, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Czech, Belgii, Białorusi, z różnych zakątków Polski, z udziałem m.in. Doroty Masłowskiej, Stanisława Łubieńskiego, Grzegorza Kasdepki, Brygidy Helbig-Mischewski (Niemcy-Polska), Renaty Putzlacher-Buchtovej (Czechy), Andreja Chadanowicza (Białoruś), Stanisława Zawiślińskiego, Mariana Turskiego, Mirosława Ikonowicza (najnowsza jego książka pt. *Pohulanka*).

Przybędą znakomici artyści: Wojciech Pszoniak, Joanna Moro, Stanisława Soyka z zespołem. Nie zabraknie części wystawienniczej i filmowej, w ramach której odbędzie się premiera filmu pt. *Nieobecny* o „wileńskim Wojaczku” – Sławomirze Worotyńskim. Do Wilna przybędzie wnuczka pisarki wileńskiej Wandy Dobaczewskiej. Zaprezentowany zostanie cały szereg nowych książek.

W festiwalu, który odbędzie się pod hasłem 100-rocznicy Niepodległości na Litwie i w Polsce (polecam konferencję na temat złożonych wyborów niepodległościowych w Instytucie Polskim), wezmą udział czołowi pisarze i poeci litewscy, twórcy polscy. Słowem festiwal ma charakter interdyscyplinarny, a oferta jest bardzo różnorodna i bogata.



Recital Joanny Moro, 27 maja, godzina 17.00, Dom Kultury Polskiej, według tekstów XX-lecia międzywojennego i współczesnych, aranżacja muzyczna Mateusz Wachowiak i Konrad Wantrych.



Wieczór poezji polsko-litewskiej, 28 maja, godzina 18.00, Pałac Balińskich w Jaszunach, Wojciech Pszoniak i Birute Mar, oprawa muzyczna Jan Maksimowicz.



Stanisław Soyka Trio, 27 maja godz. 19.00, Dom Kultury Polskiej.



Grzegorz Kasdepke, 28 maja godz. 13.00, Okręgowa Biblioteka Publiczna im. Adama Mickiewicza. Tylko bez morałów! – spotkanie z polskim autorem książek dla dzieci i młodzieży i tłumaczką polskiej literatury Birute Jonuskaite.



30 maja godzina 17.00, Mosty Literackie – spotkanie z Dorotą Masłowską, Stanisławem Łubieńskim.

XXV MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL POEZJI „MAJ NAD WILIĄ”. PROGRAM.

100-LECIE ODBUDOWY NASZYCH PAŃSTWOWOŚCI

Niedziela, 27 maja

Zajazd. Hotel „Pan Tadeusz”(Ponas Tadas), Dom Kultury Polskiej

(DKP, ul. Naugarduko 76)

13.00 – Udział we Mszy św. w kościele Wniebowzięcia NMP (Franciszkanów)

Dzielenie się słowem – refleksja liryczno-poetycka gości festiwalu (Trakų 9/1)

17.00-20.30 – Z okazji 25-lecia „Majów nad Wilią” w DKP:

– *Piosenki lat międzywojennych* – Recital Joanny Moro.

– Muzyka i aranżacje: Mateusz Wachowiak i Konrad Wantrych

– Premiera filmu *Nieobecny* (o „wileńskim Wojaczku” – Sławomirze Worotyńskim), z udziałem jazzmana Jana Maksimowicza, krewnych poety i twórców dokumentu

– Dwa kwadranse z poezją gości festiwalu

– Stanisław Soyka trio. Koncert Stanisława Soyki z zespołem

Poniedziałek, 28 maja

9.30 – Przywitanie z Adamem – tradycyjne zdjęcie przy pomniku Adama Mickiewicza

10.00 – Inauguracja z udziałem przedstawicieli Ambasady RP, jej Wydziału Konsularnego, Instytutu Polskiego w Wilnie, Związku Pisarzy Litwy i innych instytucji

10.20 – *Przedpołudnie Jednego Wiersza – poznajmy się!* Prezentacja twórczości gości festiwalu. Dom-Muzeum A. Mickiewicza (Bernardinų 8)

15.00-15.20 – Otwarcie wystawy fotograficznej Jana Skłodowskiego *Litewskim szlakiem Narutowiczów,* z udziałem autora, Instytut Polski (IP)

15.30 – Konferencja *Niepodległość niejedno ma imię – 100 lat odrodzenia państwowości Litwy i Polski.* Polacy w niepodległości litewskiej, m.in. St. Narutowicz, Michał Romer. Tadeusz Iwanowski (Tadas Ivanauskas), odrodzenie naszych państwowości w literaturze i sztuce. Z udziałem Tomasza Kuby Kozłowskiego (Dom Spotkań z Historią), moderują redaktorzy naczelni: Tomasz Otocki – portal „Przegląd Bałtycki", Andrius Konickis – „Naujoji Romuva" i Romuald Mieczkowski – „Znad Wilii"

Dyskusja nt. integracyjnej roli literatury, punkt widzenia

młodych twórców, podsumowanie konkursu „Polacy Wielu Kultur”

Czynne będzie stoisko z książkami uczestników festiwalu. IP (Didžioji 23)

Wtorek, 29 maja

8.00-23.00 – *Śladami Józefa Piłsudskiego* – objazd autokarowy: Wilno – Cmentarz na Rossie (złożenie kwiatów przy Mauzoleum Serca Marszałka i na grobie Jonasa Basanavičiusa) – Pikieliszki – Bezdany – Podbrodzie – Powiewiórka – Zułów – Jaszuny

17.00-20.00 – *Tu u Ludwiki Śniadeckiej bywał Słowacki – ulubiony poeta Marszałka.*

– Najazd Poetów na Pałac Balińskich w Jaszunach:

– Premiera filmu *Nieobecny;* z udziałem jazzmana Jana Maksimowicza

– Koncert poetycki gości festiwalu

– Goście specjalni: Wojciech Pszoniak i aktorka litewska Birutė

Mar

Środa, 30 maja

9.30 – *Przedpołudnie z filmem* Festiwalu Filmów Emigracyjnych i o Polakach Zagranicą EMiGRA. Prowadzi Agata Lewandowski

Filmy: *Nieobecny* (Litwa/Polska) i inne (zostaną podane później). IP (Didžioji 23)

14.00 – Konferencja prasowa. IP (tamże)

15.30 – *Pamiętamy o Celi Konrada – Środa Literacka* przy Klasztorze Bazylianów:

– *Inwokacja – nasz pacierz*

– Turniej Jednego Wiersza Młodych o Nagrody Czeladnika Poezji

17.00 – *Mosty Literackie,* spotkanie z Dorotą Masłowską, Stanisławem Łubieńskim oraz tłumaczy polskiej literatury – Vytautasem Dekšnysem i Birutė Jonuškaitė. Prowadzi Joanna Tabor. Po spotkaniu występ jazzmana Jana Maksimowicza. Klub Pisarzy Związku Pisarzy Litwy. Pałac Ogińskich (Lietuvos

Rašytojų Sąjunga, K. Širvydo 6)

20.00 – *Biesiada Poetów, Malarzy, Muzyków i ich Przyjaciół*

– Występy młodych twórców: Rob B. Coltona (Roberta Błaszkiewicza), Tomasza *Tamošiūnasa, Daniela Krajczyńskiego i Tomasz Snarskiego.*

– Degustacja potraw wileńskich. Polska Galeria Artystyczna „Znad Wilii" (Išganytojo 2/4, obowiązują zaproszenia)

Czwartek, 31 maja

10.00 – *W gościnie u literatów litewskich.* Rozmowa na temat translatorskie i współpracy w Związku Pisarzy Litwy. Ze strony litewskiej uczestniczą m.in. Irena Aleksaitė i Vytautas Dekšnys, Vyturys Jarutis, a także polscy poeci z Wilna.

Pałac Ogińskich – Związek Pisarzy Litwy (Lietuvos Rašytojų Sąjunga, K. Širvydo 6)

13.00 – *Miłosierdzie w Wilnie.* Odwiedzenie hospicjum bł. ks. Michała Sopoćki

15.00-20.00 – *Niepodległość niejedno ma imię.* Wędrówki literackie po Wilnie z przewodnikami, wizyty w organizacjach i placówkach polskich oraz litewskich

Imprezy towarzyszące:

– **28 maja** o godz. 13.00 – *Tylko bez morałów* – spotkanie z polskim autorem książek dla dzieci i młodzieży Grzegorzem Kasdepką i tłumaczką Birutė Jonuškaitė w Okręgowej Bibliotece Publicznej im. Adama Mickiewicza w Wilnie

– **29 maja**, godz. 11.00 – Centrum Kultury w Solecznikach;

– **30 maja**, godz. 13.00 – w Progimnazjum im. Jana Pawła II w Wilnie

100-lecie reportażu w Polsce i na Litwie.

Dziennikarz – zawód dla cyników?

– **29 maja**, o godz. 11.00 – debata z udziałem polskich i litewskich dziennikarzy. Uczestniczą: Mirosław Ikonowicz – autor książki *Pohulanka*, Stanisław Zawiśliński – dziennikarz, pisarz i reżyser, prof. Andrius Vaišnys, Renata Butkiewicz –

prezenterka Radia Znad Wilii i Dainius Radzevičius – przewodniczący Związku Dziennikarzy Litwy. Gość honorowy: Marian Turski

Informacja:

Romuald Mieczkowski, dyrektor i koordynator festiwalu

+48 601670296, +48 508764030; +370 62304830, znadwilii@wp.pl

Organizatorzy i wsparcie finansowe:

– Redakcja kwartalnika „Znad Wilii”, Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie”. Projekt współfinansowany w ramach sprawowania opieki Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za Granicą;

– Mazowiecki Instytut Kultury w Warszawie, Projekt sfinansowano ze środków MKiDN w ramach Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017-2021, w ramach programu dotacyjnego „Kulturalne pomosty”

Partnerzy: Instytut Polski w Wilnie, Dom Kultury Polskiej w

Wilnie, Fundacja EMIGRA, Związek Pisarzy Litwy, Okręgowa Biblioteka Publiczna im. A. Mickiewicza w Wilnie, Pałac Balińskich w Jaszunach, Uniwersytet Wileński, Muzeum A. Mickiewicza, Radio Znad Wilii

—-

„Maj nad Wilią” we wspomnieniu Floriana Śmieji:

> Wspomnienie o „Maju nad Wilią”